

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



Nr. 174.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 24 stycznia 1863 r.

Prenumerata na prowincyi w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Rafał Józef Czerwiakowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. Nowo otworzona droga żelazna warszawsko-bydgoska (z trzema drzeworytami). Listy z wycieczek po Wołyniu (dokończenie). — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Opole na Śląsku (z drzeworytem). — O zamierzonem wydawnictwie dzieł Syrokomli. — Szachy. — Rebus. — Obrazy litewskie (dalszy ciąg). — Kronika sztuk pięknych. — Przegląd polityki zagranicznej. — Korrespondencya od redakcyi.

Rafał Józef Czerwiakowski,

NESTOR CHIRURGII W POLSCE.

Pięć wieków ubiega od czasu jak na północy Europy pierwsze powstało ognisko nauki. Polskę wybrała Opatrzność dla przewodniczenia w dziele oświaty licznej rodzinie Słowian, a sędziwy nasz Kraków był pierwszą kolębką wschodzącej na północy zorzy, której promienie ożywcze prędko i daleko rozbiegły się na wsze strony. Prawda, ościenne państwa od dawien dawna znały już ramię rycerskiej Polski, ale skoro na szczycie Wawelu zajaśniał płomień nauki, kiedy Czechów, Węgrów, Niemców, Szwedów liczne zastępy zaległy gród Krakusa, obok dzielności ramienia, zaczęto wielbić i dzielną głowę polską. Polska dała szczęśliwe hasło do zakładania szkół i ościennym krajom: prędko, bo pod koniec jeszcze XIV wieku, spotykamy już uniwersytety w pobratymczej nam Pradze (1348), w Wiedniu (1365) i w Heidelbergu (1386), do których w następnym stuleciu przybyło jeszcze sześć nowych.

Krakowska akademja, w ciągu dwóch wieków jedyna u nas wyższa szkoła, chociaż zamknięta w ciasnych scholastycyzmu ramach, zdobyła sobie zaszczytne imię we wszystkich prawie gałęziach umiejętności ludzkich; jedna tylko medycyna, a mianowicie chirurgia, do końca XVIII wieku nie dawała tutaj żadnego prawie objawu życia. Kommissya edukacyjna, zaprowadzając rdzenne reformy w naszych dwóch głównych szkołach, i chirurgią, tę najważniejszą gałąź wiedzy lekarskiej, wcielając do kursów akademickich, przyznała jej po raz pierwszy prawo obywatelstwa w kraju i w szkole. Najgłówniejszą dźwignią tej nowej u nas jeszcze na owe czasy nauki był Rafał Czerwiakowski.

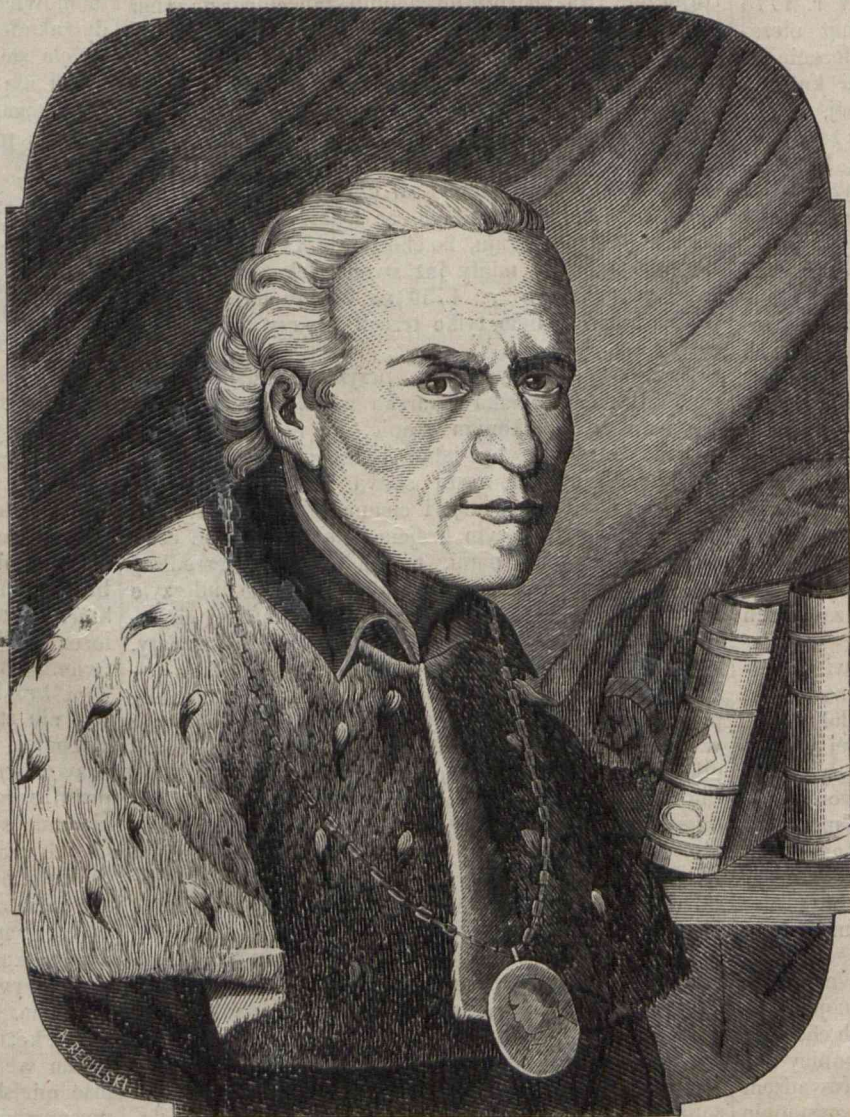
Przed skreśleniem życiorysu tego znakomitego męża, musimy najprzód wskazać przyczyny tak opóźnionego u nas rozwoju chirurgii, która bez zaprzeczenia jest podstawą i ozdobą medycyny, a z tego poznamy stanowisko, jakie zajmuje Czerwiakowski w obec kraju, szkoły i nauki.

Pewne gałęzie wiedzy ludzkiej wzrost swój i kwitnienie w niektórych krajach zawdzięczają wyłącznie narodowemu charakterowi, znajdującemu szczególne upodobanie w tej lub owej nauce; inne winny swój byt uznanej przez opinią publiczną koniecznej ich potrzeby; do wydoskonalenia niektórych przyczyniają się ludne miasta, zakłady fabryczne, ogromne szpitale, a nawet i wojny; nareszcie rozwojowi niektórych stają na przeszkodzie pewne instytucje i hierarchie. W naszym kraju rozwojowi dwóch umiejętności, mianowicie filozofii i chirurgii, okoliczności nigdy nie sprzyjały: pierwsza z nich długi czas u nas zaszczepić się

nie mogła, druga zaś walczyć musiała z obojętnością i przesadami. Pomijając pierwszą, zastanówmy się chociaż pobieżnie, w jakim stopniu ześrodkowane u nas były warunki bytu chirurgii.

Królowie nasi otaczali się lekarzami cudzoziemcami, którzy na naukę obojętnym patrzyli okiem; instytucje nasze lekarskie, przez długi czas zajęte astrologią i alchemią, o właściwej medycynie mało myślały; zastarzałe pojęcie naszego narodu o szlachectwie nie umiało przypuścić, żeby *professya* doktorska mogła się zgodzić z klejnotem herbowym, prosty zaś lud u wieszczków i zamawiaczy szukał ulgi w cierpieniach; przy wojsku służby lekarskiej uorganizowanej nie mieliśmy, lekarskie obowiązki pełnili guślarze; te przeto okoliczności nie mogły sprzyjać rozwojowi chirurgii. Przyjrzyjmy się jeszcze bliżej niektórym z tych warunków, a przekonamy się jak dalece prawdziwem jest to nasze twierdzenie. Duchowieństwo, za pośrednictwem konfessyonatu i kazalnicy, kierowało sumieniem narodów od najdawniejszych czasów; dla owdładnięcia zaś myślą, Rzym zawarował sobie prawo zatwierdzania uniwersytetów i obowiązał duchowieństwo do publicznego nauczania po szkołach; naturalnym przeto biegiem rzeczy wszystkie gałęzie ludzkiej wiedzy, a zatem i medycyna, znalazły się w rękę kapłanów. Od r. 965 z Dąbrówką, żoną Mieczysława, przybywają do Polski księża rozmaitej narodowości i są pierwszymi lekarzami na królewskich dworach. W r. 1008 Bolesław Chrobry sprowadza benedyktynów do Polski, którzy do obowiązków kapłańskich zaliczają i trudnienie się medycyną. Kościół, przyjąwszy zasadę, że *Ecclesia a sanguine abhorret*, zabronił księżom wykonywania krwawych operacyj; chirurgia zatem nawet istnieć nie mogła. Z biegiem czasu cudzoziemcy świeccy zastąpili księży. Tak na dworze Kaźmirza Wielkiego spotykamy lekarzy Niemców; z Boną żoną Zygmunta napływają do Polski lekarze włoscy; Marya Ludwika, żona Władysława IV, otacza się lekarzami Francuzami; za Sasów przybywają do Polski lekarze Niemcy. Ci zagraniczni spekulanci, więcej dbali o interes własny, niż o dźwignienie nauki w kraju, *auro et divitiis bene onusti*, jak się wyraża Gąsiorowski, opuszczali naszą ziemię.

Kiedy ani duchowieństwo, ani też lekarze dworu bynajmniej nie wpływają na rozwój medycyny w kraju, rzucmy okiem na to, jakie zajęły stanowisko w tém



RAFAŁ CZERWIAKOWSKI. (Rysował ze szytchu Polkowski).

dziele nasze naukowe zakłady. W r. 1347 Kazimir Wielki we wsi Bawol rzucił pierwsze podwaliny przyszłej wszechnicy krakowskiej, przyjmawszy w urządzeniu jej za wzór uniwersytet paryżki. W r. 1401 Władysław Jagiello otworzył wydział lekarski, przyczem ustanowiono dwie katedry medycyny i pierwszych professorów z Pragi wezwano. Ale w ciągu 400 lat prawie (do r. 1780), jak się wyraża uczony professor Majer, wydział lekarski na łonie szkoły głównej pasierbiego doznawał losu; zwykle dwóch, a bardzo często jeden professor medycyny, stanowił jakby cień szkoły lekarskiej. Professorowie innych wydziałów dzielili między siebie dochody, urzędy i godności; medycy, wyłączeni od tych dobrodziejstw, ograniczali się 20 grzywnami pensyi, a dla wielu z nich nieraz jedyną ponętą do akademii był beret doktorski i professorska toga, lub *canonicatus doctoralis medicinae* przy kapitule. Ztąd też medycyna w najopłakaniejszym była stanie: ciemny pokoiak stanowił *lectorium Galeni*; nauka bez życia, wykład tylko dorywczy. W r. 1615 założona katedra anatomii, prędko upadła; o wykładzie chirurgii w akademii nawet nie myślano. Od r. 1586 za Zygmunta III zaczęły się kłótnie jezuitów z akademią, co ostatecznie upadek nauk w szkole jagiellońskiej spowodowało. W r. 1578 Stefan Batory założył akademię w Wilnie; Władysław IV w r. 1644 dozwolił nauczać w niej medycyny; ale pomimo to do upadku jezuitów (r. 1773) wydziału lekarskiego tutaj nie otworzono. Jan Zamojski w r. 1593 założył akademię na Rusi Czerwoniej i wydział lekarski przetrwał w niej do r. 1700; lecz szkoła ta od r. 1648 zamieniona prawie wyłącznie na szkołę teologiczną, żadnych nie wydała pionów dla medycyny; kilku tylko anatomików zasłużyło na chlubne wspomnienie. Gimnazjum gdańskie ma pewne zasługi pod względem anatomii. W r. 1580 znajdujemy tutaj salę anatomiczną i wykład anatomii; ale czas jej trwania był niedługi. We Lwowie jezuiti, otwierając akademię w r. 1688, wezwali Budniasza na profesora anatomii; z powodu jednak kłótni z akademią krakowską wykładu nie rozpoczęto. Za Augusta III powzięto myśl założenia collegium lekarskiego w Warszawie w 1732 r.; i to wszakże, jak wiele innych u nas pięknych pomysłów, skończyło się na projekcie. Za Stanisława Augusta lekarz nadworny królewski Herrensztand wystąpił także z projektem założenia akademii lekarskiej w Warszawie; sejm 1768 r. projekt ten zatwierdził, przeznaczając na utrzymanie jej 400,000 złp.; lecz szkoła pomimo to do skutku nie przyszła. Projektowano czterech professorów, z których jeden miał wykladać anatomią, chirurgią i akuszeryą. W r. 1775 Tyzenhauz podskarbi nadworny litewski, mąż niezaprzeczonych zasług w kraju, otrzymał polecenie od Stanisława Augusta założenia w ekonomii królewskiej Grodnie akademii medyko-chirurgicznej, teatru anatomicznego i lazaretu; posprowadzał on z zagranicy professorów (Filibert do historii naturalnej, Mintz do chemii), ale na nieszczęście i tu intryga wyższą była nad zasługi i pracę. Z upadkiem Tyzenhauza, upadły i zakłady nauk i przemysłu, a szkołę lekarską z Grodna przeniesiono do Wilna 1780 r. W r. 1736 Henryk Loelhoeffel, dziad znakomitego Joachima Lelewela, powołany do Warszawy dla nauczania chirurgii, założył na Podwalu teatr anatomiczny i tam ukaranych śmiercią zbrodniarzy ciała rozbiarał. Pospółstwo tém oburzone, chciało go ukamienować; wdanie się wojskowej władzy ocaliło mu życie, ale wykładu anatomii zaprzestano. Podobny los spotkał i Stefana Bisio, który w r. 1770 pierwszy w Wilnie robił oczłonkowanie ciała ludzkiego. To samo powtórzyło się i z Czerwiakowskim w Krakowie w r. 1779, jak to później zobaczymy. W r. 1789 założono w Warszawie szkołę chirurgiczną; przetrwała ona z przerwami do r. 1795. Wykładano w niej anatomią i chirurgią, o zasługach jednak tej szkoły nie prawie nie wiemy.

Z tego krótkiego poglądu na zakłady naukowe w kraju przekonywamy się, że medycyna, jako nauka, aż do reformy szkół w Polsce w r. 1780 dokonanej, znajdowała słabe tylko schronienie w jednej prawie akademii jagiellońskiej. Członkowie tej szkoły, zajęci kłótniami z zakonnikami o swoje prawa i trwoniąc miliony na kanonizacyą swoich kolegów (Jan Kanty), tradycyą nawet nauki zatracili. W r. 1774 lekarski wydział zamknięto; jeden Badurski jako lekarz pozostał przy szkole, pracując nad planem reorganizacyi wykładu medycyny przy mającej nastąpić reformie szkoły w ogóle.

Prócz szkół, miała już Polska od najdawniejszych czasów szpitale. W r. 1470 w Poznaniu znajdujemy szpital św. Michała, przeznaczony dla ubogich chorych, podróżnych i trędowatych. W r. 1203 zakonnicy św. Ducha, czyli tak zwani Bracia szpitalni, sprowadzeni zostali z Wiednia i w Sławkowie osadzeni, następnie do Prądnika, a ztąd w r. 1244 do Krakowa prze-

niesieni, gdzie im wystawiono szpital, klasztor i kościół św. Ducha. Z biegiem czasu powstały szpitale w różnych miastach Rzeczypospolitej. Marya Ludwika w r. 1642 sprowadziła siostry szare do Warszawy i szpital św. Kazimierza w opiekę im oddała; ale wszystkie nasze szpitale były tylko instytucjami religijnodobroczynnymi, nie zaś naukowo-lekarskimi. W nich znaleźć mogły przytułek nędza i cierpienie, lecz nauka żadnej nie wynosiła z nich korzyści. Po raz pierwszy w Polsce w r. 1780 otworzono w Krakowie, w gmachu św. Barbary, szkołę lekarsko-cyryliczną, czyli szpital akademicki, przy którym urządzono trzy kliniki: lekarską, chirurgiczną i położniczą. W r. 1788 kliniki przeniesiono do klasztoru karmelitów bosych na Wesołej (szpital świętego Łazarza), w roku zaś 1827 utworzono oddzielny instytut kliniczny, w którym po dziś dzień mieszczą się kliniki chirurgiczna i lekarska, położnicza bowiem od r. 1833 napowrót przeniesiona została do szpitala św. Łazarza.

Utworzenie klinik stanowi epokę w rozwoju lekarskiej nauki najważniejszą; nie bez korzyści przeto będzie dla nas zatrzymać w pamięci czas powstania klinik w innych krajach. Pierwszą klinikę, jako systematyczne nauczanie medycyny u łóża chorego w szpitalach, spotykamy w Padwie, w szpitalu św. Franciszka r. 1578. Druga klinika, o której mamy pewniejsze wiadomości, powstała w r. 1643 w Utrechcie; professorem w niej był Stroeten. W tymże samym prawie czasie urządzono klinikę w Lugdunie. W r. 1715 otworzono klinikę w Rzymie, w szpitalu św. Ducha; znamięny Lancisi stanął na jej czele. W r. 1720 w Edyburgu, w r. 1753 w Wiedniu. We Francyi od r. 1786 zaprowadzone były prywatne wykłady kliniczne przy szpitalach, kliniki jednak oficjalne powstały dopiero w r. 1794, a zatem czternaście lat później jak u nas.

Kiedy medycyna w szkole krakowskiej tak słabo reprezentowaną była, Polacy udawali się na zagraniczne uniwersytety, mianowicie do Włoch, dla uczenia się nauki lekarskiej. Na tej drodze, po za obrębem szkoły naszej, wykształciło się prawda wielu lekarzy, ale pod względem chirurgii zastęp ich nader był mały. W dziełach Strusia, Falimierza, Spiczynskiego, Chrościewskiego, Sleszkowskiego, Jonstona, Danilkiwicza i wielu innych znajdujemy całe ustępy o przedmiotach odnoszących się do chirurgii, które jednak zastosowania na chorych u nas nigdy nie znalazły. Wstręt do noża, przesąd do operacyi, bojaźń przelewu krwi, wstyd ponizania się zajęciami rzemiosłu właściwemi, kładły nieprzelamane tamy praktyce chirurgicznej. Na jak niskim stopniu stała chirurgia u nas w XVIII jeszcze wieku, możemy wnosić z tego, że kiedy August II zachorował na zanogicę i kiedy chirurg królewski Weisse uznał za potrzebne zrobić przecięcie, nikt z lekarzy nie mógł wykonać tak małej operacyi; wezwano zatem z Paryża znakomitego chirurga Jana Ludwika Petit do Białegostoku, gdzie w zamku Czartoryskich król czasowo się zatrzymał. Dodajemy jeszcze do tego, że lekarzy rodaków był brak zupełny w kraju, bo chociaż od XVI wieku większe miasta Polski miały już swoich lekarzy i chirurgów, jednakże w r. 1750 na 70,000 mieszkańców w Warszawie, było tylko trzech lekarzy i dziesięciu cyrylików.

Zważywszy to wszystko, przyznać musimy, że i w XVIII wieku nauka lekarska w Polsce przedstawia się nam w opłakanym stanie. Na nieszczęście nie świetniejszym też był stan i innych gałęzi wiedzy ludzkiej. Naukowa nasza sława XVI wieku dawno już przebrzmiała, a zamęt i ciemność rozpostarły swę panowanie nad naszym krajem. Ale Opatrzność czuwała jeszcze nad nami; naród, ciężkie przeszedłszy koleje, zaczął budzić się do nowego życia, uderzyło tętno drogiej wspomnień i z gruzów dawniej chwały dźwignięto nowy przybytek odrodzenia się oświaty. Roku 1773, po 233 latach istnienia, runął zakon jezuitów, który pod pozorem publicznego nauczania, przeprowadzał tylko swe tajne cele, ciemnotę szerząc w kraju. Wychowanie narodowe wtedy dopiero wstąpiło na nową zupełnie drogę. Za staraniem Joachima Chreptowicza, podkanclerza litewskiego, powstała kommissya edukacyjna obojga narodów, jako pierwsze ministerium oświecenia w Europie; z jej łona wysłani wizytatorowie do głównych szkół kraju: Wybicki Józef do Wilna, do Krakowa Hugo Kołłątaj, który wkrótkim czasie zaprowadza reformę w szkole krakowskiej, w Wilnie zaś przekształconą akademią otwiera Poczeb 24 listopada 1781 r.

Od r. 1780, jako czasu odrodzenia się nauk w Polsce, zaczyna się nowa historia oświaty krajowej. Roku 1783 wydana ustawa powszechna dla szkół publicznych; następnie powstało towarzystwo dla napisania elementarnych dzieł. Nauki uległy innym kolejom; niektóre z nich wykreślono z planu wykładu,

miejsce ich zajęły nowe, odpowiednie wymaganiom czasu. Medycyna jako nauka zjawia się w akademiach naszych, oddzielne jej gałęzi po raz pierwszy zyskują u nas uznanie, mianowicie chirurgia i akuszerya; anatomia nabiera nowego znaczenia. Szkoły nasze przyjmują udział w ogólnym rozwoju medycyny, a ich członkowie przez znakomite prace jedną sobie zaszczytne miejsce w rodzinie lekarskiej europejskiej.

Do nowych gałęzi wiedzy, potrzebni byli nowi pracownicy. Polska dosyć ich nie miała; wileńska przeto akademія uciekać się musiała z początku do cudzoziemców. Kraków był szczęśliwszym, ubiegł on stolicę Litwy; do wykładu trzech ważnych przedmiotów: chirurgii, położnictwa i anatomii, wynalazł rodaka, który olbrzymią nauką, niepospolitemi zdolnościami i rzadką gorliwością stał się najpiękniejszą ozdobą krakowskiej szkoły, a jego cnoty obywatelskie, poświęcenie bez granic, miłość prawdy i słodycz obyczajów, uczyniły go zaszczytem i dumą kraju.

Tym człowiekiem był Rafał Józef Czerwiakowski. W tak ważnej epoce, jaką był czas odrodzenia się nauk w Polsce, zesłanie takiego męża było dziełem Opatrzności. Jest to najdroższy upominek jaki Litwa ofiarowała Krakowowi, który później godnie się jej odwdzięczył Jędrzejem Śniadeckim. Dumną była Litwa, kiedy za życia jeszcze Czerwiakowskiego mogła dać krakowskiej szkole i drugiego profesora chirurgii w osobie Zmujdzina Lewkowicza. Obejmując wykład nowych jeszcze na naszej ziemi i przez rodaków pogardzonych nauk, Czerwiakowski, przy głębokiej znajomości rzeczy, mieć musiał silną wolę i nieugięty charakter, skoro w latach niewielu, z narażeniem prawie własnego życia, dał poznać narodowi wielkie znaczenie chirurgii w rzędzie lekarskich nauk i zaszczytać doń zamiłowanie w młodzieży potrafił. Czerwiakowski nie miał utorowanej drogi, sam musiał wszystko tworzyć, zaczynając od zakładu i uczniów, a działając w ciągu 36 lat przykładem, żywem słowem i piórem, pierwszy wykład chirurgii w ojczystym zaprowadził języku, stworzył klinikę chirurgiczną, pierwsze dzieło w zupełności obejmujące chirurgią w polskim napisał języku; słowem pierwszy w Polsce stworzył chirurgią jako naukę, która pięknie się rozrosła, dojrzała i błogie wydała owoce. Męża tyłu zasług dla ojczyzny i nauki, z dumą nazywamy Nestorem chirurgii w Polsce.

Chociaż pamięć Czerwiakowskiego kilku już biografów uczciła i zasługi jego wymownie wygłoszone zostały, chociaż nie nowego o jego życiu dodać nie potrafię, szczęśliwym się jednak czuję będę, dzisiaj mianowicie, przy rozbudzonem naukowym życiu, kiedy akademicka nasza młodzież z taką gorliwością wzięła się do nauki chirurgii, jeżeli zdołam odtworzyć przed nią obraz sławnego męża i wspólnie z nią uczcić tego, który pod wszelkimi względami stanowi dla nas piękny wzór do naśladowania.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Mam pisać kronikę ... posłaniec z drukarni czeka, — a nie wiem doprawdy od czego zacząć.

Nieraz już zdarzało mi się w takim usposobieniu, że rzuciwszy pióro, poszedłem do okna i spojrzałem na ulicę, a wtedy myśli jak paciorki nisały się na nitkę stylu. Ale dziś... mgła zaciemnia powietrze, a ludzie wloką się pod parasolami, z kołnierkami podniesionymi do góry, brnąc w błocie prosto przed siebie. W mieście są dwie oddzielne fizyognomie ludzi, które wszędzie i zawsze spotykać można. Jednych interes wyciągnął z domu, mają sprawę jaką do załatwienia, mają robotę zadomową; ci idą szybko, równym krokiem, nie oglądając się na prawo ani na lewo, nie zatrzymując się ani dla pogawędki, ani przed sklepami dla pogapienia się. To są ludzie pracy, to prawdziwe jądro miejskiej ludności; każdy z nich ma przed sobą cel i brak mu czasu na próżniackie rozglądanie się po ulicach. Inni wychodzą z mieszkań, bo ich wabi świeże powietrze, bo nudzą się u siebie, bo chcą odwiedzić znajomego. Otóż ci nadają wielkiemu miastu odrębną fizygnomię, oni są barometrem wskazującym stan atmosfery miejskiej. Niewszędzie ich spotkać można, roją się oni w największej części po uprzywilejowanych tylko ulicach. Ich wszystko zatrzyma, radzi wszelkiemu spotkaniu, wszelkiej nowości, każdemu niezwykłemu widokowi. Otóż takich dziś niema wcale, a razem z nimi znikła cała ta różnorodność miejska, z której my sprawozdawcy zwykliśmy wysnuwać cechy czasowe, jak meteorologowie stan ataki lub owaki atmosfery. I próżno patrzeć, próżno

szukam: snują się ciągle jedne i te same postacie, podobne do siebie jak ziarenka bursztynowe na jeden nawlezione sznurek. Niewiele tu dla siebie wynajdę, chyba będę opisywał tę wodę, co kropla po kropli spada z dachów na gładkie chodniki i splywa po nich, żeby ginać, jak wiele rzeczy ginie... w ściekach ulicznych.

Więc odchodzę od okna i wracam znowu do biurka. W najgorszym razie wolę dziś mieć do czynienia z papierami, aniżeli z ludźmi. Mam przed sobą parę książek i ogłoszeń; mówić o nich zawsze jest na czasie.

Donoszą nam o nowych pracach nadesłanych do albumu Piastowego. Sporo ich się zebrało; a jednak z nazwisk autorów jakie wyczytaliśmy, największa część jest takich, z którymi rzadko gdzie spotkać się nam zdarzyło. Niektórzy, (w bardzo małej liczbie) posłali swoje portrety i życiorysy. Poezji tu najwięcej, i te których tytuły czytaliśmy, starczyłyby same na zapelnienie znacznej części albumu. Chętniejsi autorowie nadesłali ich po trzy, cztery, do pięciu; jest więc w czem wybierać, chociaż zwykle się zdarza że w takich razach wielu bywa powołanych, ale wybranych mało. Daje nam to przeczuwać i odezwa wydawcy, który wliczywszy dość długi szereg prac nadesłanych, żali się przecież, że pomimo upływu ostatecznego terminu, brak jeszcze bardzo wielu spodziewanych artykułów. A jednak trudno, jak mówi wydawca, przystąpić do ogłoszenia prenumeraty i do druku albumu, dopóki najznakomitsi pisarze i artyści swoich artykułów nie nadeszła. Ponieważ jednak uroczystość tysiąclecia odłożoną została na dzień 13 września r. b., przeto wydawca odkłada także ostateczny termin przyjmowania prac do albumu aż do 1 marca b. r.

Dla dania rękopisów że album nie będzie w sobie mieścić niczego, co by nie było godnym uczczenia tak wielkiej uroczystości, oraz że żadnemu z autorów, przez brak znajomości rzeczy lub lekceważenie, krzywdą się nie stanie, Towarzystwo poznańskie przyjaciół nauk wyznaczyło z łona swojego oddzielne komisyje, do ocenienia prac nadsyłanych.

Życzymy albumowi obfitego żniwa przesyłek pocztowych, chociaż wyznajemy szczerze, iż nie widzimy gdzie miara *znakomitości* autorów, których prace mają być pomieszczone w tej pamiątkowej książce. Pod tym względem wynurzyliśmy już swoje zdanie. Pisarzy takich, z których pracami publiczność czytająca dobrze jest oswojoną, łatwo zliczyć u nas można. Wzywają ich zwykle wszyscy mający wydawać jakiegobądź nowe pismo; mogli więc to samo zrobić i wydawca albumu. Nie przeszkodziłoby to wcale i próbującym po pierwszy raz sił w zawodzie piśmienniczym nadsyłać swoje prace; wiedzą oni dobrze o tem, że wydawca znać ich nie może i że nie on ich, ale oni jego szukać powinni. Inna rzecz z tymi, o których publiczność już sąd wydała, których samo nazwisko jest poręczeniem wartości ich utworów; takich koniecznie *imiennie* zawezwać należało.

W tem, zdaniem mojem, leży rzeczywisty powód braku na jaki żali się wydawca. Każdy piszący, złożony raz już niejako swój egzamen przed czytelnikami, nie życzy sobie być po raz drugi powołanym do niego. Wszakżeż to nie jest konkurs, na który prace nadsyłają się bezimiennie, to dobrowolna składka krajowych inteligencji, dla upamiętnienia uroczystej rocznicy, utrudniona jeszcze w stokroć owem żądaniem nadsyłania portretów i życiorysów. Ale dziś za późno już zmieniać pierwotny program i być bardzo może iż wielu nazwisk w tym albumie niedostawać będzie.

Księgarnia Gebethnera i Wolfa ważne i użyteczne przedsięwzięcie wydawnictwo. Istnieje w Niemczech dzieło znakomitego rozgłosu i wielkiej powagi naukowej. Autorem tego dzieła jest doktor Fryderyk Szedler, który pod ogólnym tytułem *Księga natury*, objął wiadomości dotyczące fizyki, astronomii, chemii, mineralogii, geologii, botaniki, fizjologii i zoologii.

Dzieła tego rozeszło się w krótkim czasie dwanaście edycji, a ostatnia, wydana w r. 1862, już jest prawie wyczerpaną. Panowie Gebethner i Wolf, postanowiwszy wydać przekład Księgi natury na język polski, powierzyli tę pracę profesorom Feliksowi Berdau, Teofilowi Cichoickiemu i Antoniemu Wałęckiemu.

Przekład ten ma być uskuteczniemy według ostatniej edycji, a więc ze wszystkimi poprawkami i uzupełnieniami uczynionymi przez autora i pomnożony dodatkami dotyczącymi kraju naszego. Drzeworyty w liczbie 976 posłużą do objaśnienia tekstu. Przy tak widocznej dziś potrzebie sumiennych dzieł naukowych, wydanie Księgi natury Szedlera jest bardzo trafnym pomysłem. Nietylko dla uczących się, nietylko dla badaczy nauk przyrodzonych, ale dla całego ogółu czytelników rozpowszechnienie takiego dzieła nie miała korzyść przynieść.

PP. Gebethner i Wolf nabyli również przekład najnowszego dzieła doktora Fiszla o konstytucji angielskiej. Przekładu tego dopełnił pan Włodzimierz Górski. Jest to owoc głębokich studyów sumiennego badacza, tłumaczący ducha ustaw, na które wielu się powołuje, chociaż mało kto miał sposobność poznać je gruntownie.

Mamy w tej chwili pod ręką zbiorek pierwszy poezji Józefa Grajnerta, zawierający pieśni i dumki, tak oryginalne jak i tłumaczone. Pan Grajnert należy do tych ludzi, którzy nadaną sobie przez Boga zdolność nie pozostawiają odłogiem, ale pracują ciągle, niezrażeni przeciwnościami, nie dając się usnąć powodzeniu. Z takich nieraz więcej bywa pociechy i użytku, aniżeli z wysokiego nawet polotu talentów, zasklepionych w sobie i czekających ciągle na jakieś technienie Boże, które samo nie przychodzi, a czasem nawet, gdy długo pozostawiamy odłogiem rolę jaka nam do uprawy przeznaczoną została, nazawsze ulata. Nie idzie jednak za tem, żeby pisać poezye bez natchnienia, bo naturalnie nie będą to już poezye. Jeden z towarzyszy i dobrych przyjaciół Mickiewicza rozpowiadał nam, że w czasach pierwszej jego młodości, kiedy najsilniejszy ogień natchnień wrzał w jego piersiach, miewał on dziwne jakiegoś chwile apatyj, w których nie go nakłonić nie mogło do wzięcia się do pióra. I takie odpocynki umysłowe po kilka miesięcy trwały niekiedy. Gdy wówczas naklaniano Mickiewicza żeby pisał, zwykł był odpowiadać:

— I pocóż mam nawlekać paciorki na nitkę? Umysł ludzki nie jest maszyna, która raz w ruch puszczona, wciąż już idzie. Gdybym w tej chwili wziął się do pióra, niebym dobrego nie napisał.

Więc mistrz największych natchnień, najlepiej też umiał natchnieniem uszanować. Z tem wszystkiem nie mam wcale zamiaru pochwalać tych opieszalców umysłowych, co wiecznie lenistwo swoje brakiem natchnienia tłumaczą. To już nie poszanowanie prawdziwej twórczości, ale wstręt do pracy; a takich u nas niebrak. Odwołują się oni zawsze do przeszłości i zasypiają na niej. Iskra talentu nie tak prędko wprawdzie zagasa: długo skrzy się ona jeszcze w popiele, który ludzie ci naokoło niej nagromadzają, lecz nareszcie niepodsycają niczem, gaśnie już na dobre, a duch upadły, choćby i zapragnął poniewczasie wziąć się do pracy, nie już z siebie nie wydobędzie.

Na szczęście swoje pan Grajnert nie należy do tych poetów z uspiąną twórczością. Od kilku lat, jak widzimy jego utwory pojawiające się po różnych piśmiach, dostrzegamy w nich widoczny postęp i w formie i w duchu. Bo niech tam niektórzy mówią co chcą, dwie te połowy jednej całości tak są nierozdzielne, że gdy pierwsza niedokładna albo spaczona, i na drugiej koniecznie się to odbić musi. Z poezji pana Grajnerta najlepiej nam się podobają utwory na tle ludowym osnute. Wielka w nich prostota myśli i wyrażenia.

Przeglądu Katolickiego pojawiły się już dwa numery. Pismo to, zastępujące nam obecnie Pamiętnik Religijno-Moralny, zwiększyło i urozmaiciło jego treść, wzmógłszy się nowymi żywiołami.

Przegląd Katolicki ma piękną drogę przed sobą. Tradycja, przeszłość narodu, a przynajmniej historia najpiękniejszych chwil jego, wskazuje mu tę drogę obywatelską, na której tak łatwo dają się połączyć powinności kapłana, z obowiązkami członka wielkiej rodziny narodowej. A nie uwzględniając już nawet tego ogólnego stanowiska, którego żadne pismo czasowe z oka tracić nie powinno, Przegląd Katolicki ma jeszcze inne, główne, wielkiej wagi zadanie, w działaniu na proboszczów i kapłanów wiejskich, którzy, o ile sądzimy, stanowić będą główne jądro jego prenumeratorów. Nie bez przyczyny ztąd i z owad nieraz słyszeć się dawały uzalania na brak spójności w wielu miejscach kapłanów z ich gromadami, na niedostateczne zaufanie do tych właśnie, którzy na zaufaniu stoją i przez nie działać powinni. A wpływ ich wielki, bardzo wielki być może, dziś zwłaszcza, kiedy przez ukształcenie i umoralnienie niższych klas społeczeństwa, spodziewać się możemy pomyslnych skutków dla ogółu. Twierdzą niektórzy, że aby się do prostaczków zniżyć i zbawienny wpływ na nich wywierać, potrzeba tylko dobrej woli i gorącego serca. Nam się zdaje, że oprócz tych dwóch bardzo pożądaných przymiotów, koniecznym jest także i gruntowne wykształcenie, które umiejętnie skierowane, nie podwyższa, ale zniża zapórę, jaka między uczącymi a korzystającymi z nauki istnieje, oraz dokładne i jasne zdawanie sobie sprawy z celu jaki każdy mogący wywierać wpływ pewien, powinien mieć niezmiennie wytkniętym przed sobą. Każde zboczenie, każde zaniedbanie jest tu zgubnym, pociąga bowiem za sobą mnóstwo fałszywych wyobrażeń, które szczepi mimochodem. Otóż działanie na proboszczów wiejskich,

kształcenie ich i naklanianie do kształcenia innych, jest podług nas jednym z głównych zadań Przeglądu Katolickiego. Beczynność, opieszalność wielu z nich, są to opoki, o które bić ciągle powinien rydel sumiennych pracowników w piśmie katolickim polskim. Nietyle apostołowanie wiary ma ono przed sobą, ile naukę, ile wskazywanie, że w tej wierze, w tej prawdzie właśnie, wszystko co zdrowe, piękne i szlachetne mieści się i z nią jest nierozdzielnie połączone.

Ze współczuciem również witamy inne pismo peryodyczne, Zwiastun Ewangeliczny, pismo zupełnie nowe, którego pierwszy numer święto opuścił prasę, pod godłem: „A bądźcie zawsze gotowi ku daniu odpowiedzi każdemu domagającemu się od was rachunku o tej nadziei, która w was jest, z cichością i bojaźnią, mając sumienie dobre.“ (14 list św. Piotra apostoła, r. 3 w. 15).

Zwiastun Ewangeliczny jasno wypowiada swój program: „Miłując niebieską ojczyznę, mówi on, poznając jej prawa i święte ustawy, mamy obowiązki wielkie i względem ziemskiej ojczyzny naszej.“ Takie wyznaczenie wiary ze strony Zwiastuna, w szerokim kole w jakim działać powinien i może, jest już wytknięciem prostej przed nim drogi, z której zbaczanie nie może. Cel do którego ta droga dążyć powinna, to jednoczenie tych właśnie, których pewne odcienia, pewne różnice zdań i opinii oddalały od siebie. Zwiastun jest piśmie polskim, więc w doprowadzeniu do błędnego stanu tej wielkiej rodziny w pośród której żyje, widzi swe zadanie; wszyscy przeto czytelnicy Zwiastuna, a będzie ich, mamy nadzieję, niemało, ulegną da Bóg błogiemu wpływowi jego słowa i przekładu; obrany zaś przez niego zakres, niewylączający także i prac czysto literackich, nada mu zapewne pożądaną rozmaitość i zajęcie.

D U M K A .

Po dolinie
Tuman płynie,
Nad tumanem gwiazdka biała;
Po kurhanach
I po łąkach
Ciemnej nocy mrok osiada,

Księżyc w górze,
Na lazurze,
Srebrzy białe rąbki chmury;
Ponad drzewa
Światło zlewa,
W ton jeziora patrzy z góry.

W nocy cieniu,
W gwiazd promieniu,
Ukraińskiej pieśni nuta
Płacze, płynie,
W dali ginie,
Jedną rzewną łzą zasnuta.

„Ciężka dola
I niewola,
Czoła chyli nam ku ziemi,
Aż po zgonie,
Złożym skronie
Pod krzyżami cmentarnemi.

„Chmura-płaczka
Choć tułaczka,
Ale wolna—kraży górą;
Srebrna łzami,
Piór nie płami,
Dolo moja, stań się chmurą!

W noc majową,
Łzą perłową,
Nad kochaną zapłacz głową.
Tuman biały,
Światły cały,
Wstał bez pracy i bez bólu.

Nie wiązany,
Nie pętany,
Po szerokim wieje polu.
Gwiazdy biała
Mgła owiała,
Ot i ona pozostała.

Po dolinie
Tuman płynie,
Nad nim gwiazda mgłą osnuta;
Lecz skonała,
Uleciała
Ukraińskiej pieśni nuta.

M. N z za Daszowa.

NOWO OTWORZONA

DROGA ŻELAZNA WARSZAWSKO-BYDGOSKA.

W nrach 59 i 134 Tygodnika Ilustrowanego podaliśmy już opis będącej naówczas w budowie linii drogi żelaznej warszawsko-bydgoskiej. Znaczniejsze szczegóły techniczne, czerpane z wiarogodnych źródeł, mogły całkowicie zaspokoić ciekawość publiczną, zaś wierzyły bowiem nietylko wyszczególnienie stacji i budynków już wtedy gotowych, lecz jeszcze i rozmiary mostów, grobel, nasypów, przekopów i t. p. Prędkie i dokładne wykończenie tej użytecznej, a tak długo oczekiwanej linii komunikacyjnej, wzbogacające znakomicie naszą szczyplą dotychczas sieć dróg żelaznych, wkłada na nas obecnie obowiązek obznajmienia czytelników z częścią robót w ostatnich czasach dokonanych.

Z budowli po otwarciu uroczystem do publicznego

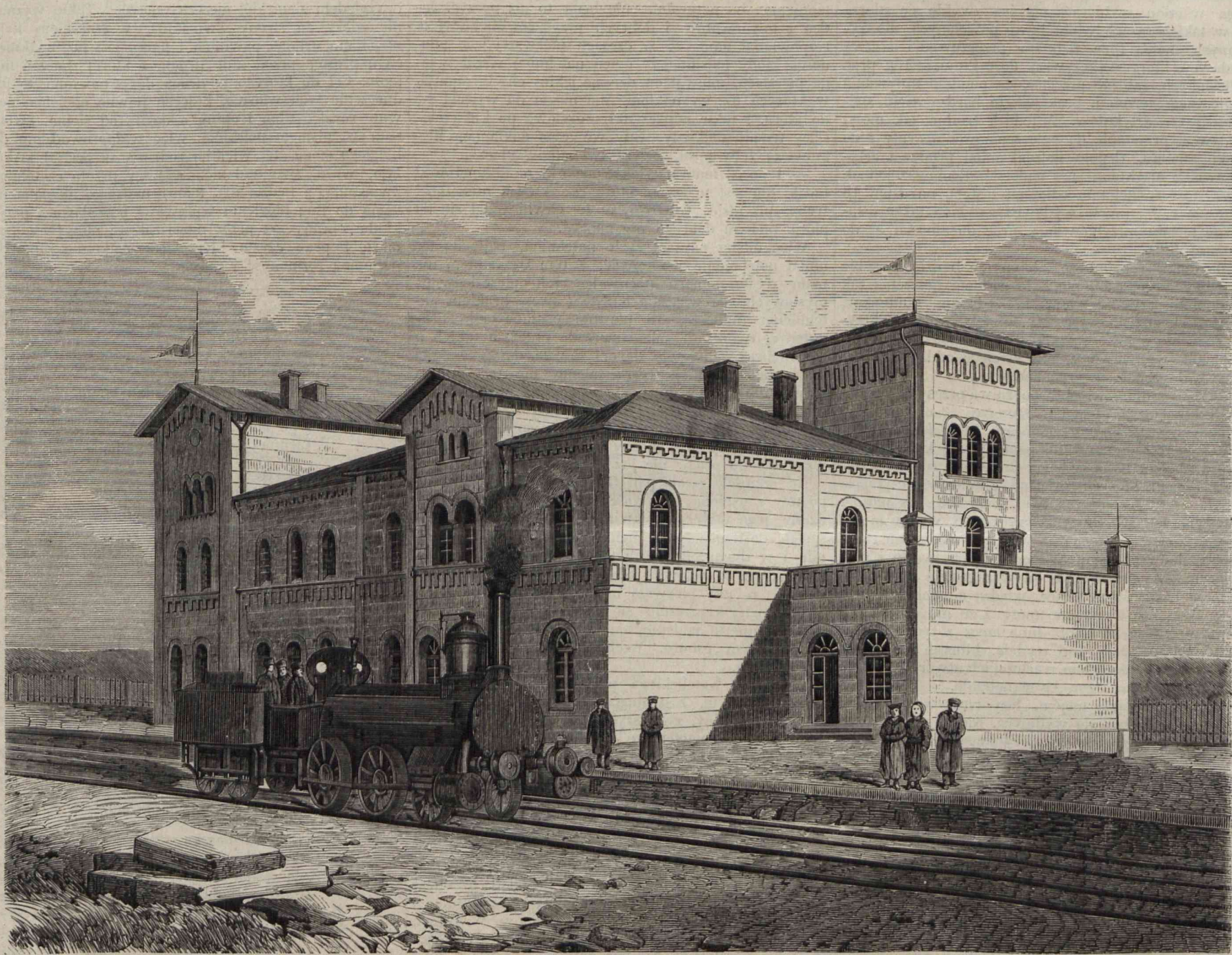
i wewnętrznego rozkładu, nie do życzenia. Nadto w Aleksandrowie wznosi się wielki budynek na pomieszczenie warsztatów, parowozów i wagonów. W niedługim przeciągu czasu Aleksandrow, w którym pobudowano komorę celną klasy 1ej, przybierze postać miasta, co już obecnie zapowiadają wznoszące się prywatne domy, hotele i domy komissowe. Droga opatrzona jest telegrafem elektro-magnetycznym, z aparatami systemu Morse'go, oraz drugą linią łączącą przyrządy dzwonkowe, umieszczone przy domkach drożników. Przyrządy te służą do zwrócenia uwagi służby przed wyruszeniem pociągów.

Jakkolwiek część kraju przecięta linią drogi bydgoskiej, nie przedstawiała wielkich trudności w robotach ziemnych, wszelako kilka nasypów, a mianowicie wielka grobla pod Włocławkiem, usypana w podziemnym jeziorze 42 i pół stóp głębokim i wielki przekop za Aleksandrowem 2 i pół wiorsty długi, a do 33 stóp głęboki, wykonane przez panów

nich uczęszczanie, ze znakomitą oszczędnością kosztów, łączyłoby i pożytek moralny, wypływający z poznania stron tamtych.

Nie możemy pominąć i na ten raz wynurzenia wdzięczności należnej słusznemu radcy stanu Wysockiemu, za pierwotny pomysł połączenia portów morza bałtyckiego z Warszawą, który z taką usilnością przez kilkanaście lat z górą stale popierał. Kraj cały uznał też zasługi p. Wysockiego, jako niepospolitego ekonomisty i ojca dróg żelaznych u nas.

Na pamiątkę zbudowania drogi bydgoskiej wykonano w Brukselli medal z brązu, mający około 3 cali średnicy. Medal ten przedstawia z jednej strony parochód w biegu, a z drugiej wymienione są nazwiska założycieli towarzystwa drogi żelaznej, członków rady zarządzającej, byłego jej dyrektora i starszego inżyniera naczelnie prowadzącego budowę. Wykonanie samego medalu jest bardzo piękne; żałujemy tylko iż nie był zrobiony w kraju, skutkiem czego



DWORZEC DROGI ŻELAZNEJ WARSZAWSKO-BYDGOSKIEJ W WŁOCŁAWKU. (Rysował z fotografii Cegliński).

użytku oddanych, najcenniejsze miejsce zajmuje dworzec na stacji pogranicznej Aleksandrow zbudowany. Budynek ten, mieszczący sale podróżnych z gabinetami, restauracją, sale komory celnej, oraz na pierwszym piętrze apartamenta dworskie i mieszkania dla urzędników, odznacza się, pomimo niepełnego jeszcze wykończenia, okazałością. Wystawa żelazna przed dworcem, szklą kryta, zbudowana z wielkim smakiem, zabezpiecza podróżnych od słońca przy wysiadaniu z powozów. Wielka sień wchodowa, podparta żelaznymi kolumnami, ozdabia także znakomicie cały budynek.

Włocławek i Kutno posiadają jednakowe stacje, według planu przyjętego dla stacji klasy 1ej w budowane; pierwszą z nich przedstawiamy tu w drzeworycie. Kowal i Nieszawa mają stacje klasy 2ej, a Pniewo i Ostrowy klasy 3ej. W mniejszych już rozmiarach, wszystkie te dworce nie pozostawiają jednakże tak pod względem wygody podróżnych, jako

Reichmana i Leśniewskiego, jako przedsiębiorców, wymagały wielkiej energii i doświadczenia, zwłaszcza że w tak krótkim stosunkowo czasie musiały być wykończone.

Pomijając korzyści handlowe i przemysłowe, spływające na kraj z otwarciem drogi bydgoskiej, nad którymi w wspomnianych na początku artykułach naszego Tygodnika obszerniej się zastanowiliśmy, i na to jeszcze zwrócić należy uwagę, że zbliżenie terenów naszego do ziem pruskich, pozwoli nam z czasem poznać dokładniej te strony dziś zapomniane, ba nawet dla wielu nieznane. Obecnie skutkiem nowo utworzonej komunikacji, ziemie pruskie rozdzielone są od Warszawy przestrzenią tylko kilku godzin czasu. Może też z wiosną wyruszający turyści nasi zwidzieli zechcą miejscowości pełne uroku i drogich pamiątek, jak: brzegi Gopla, Malborg, Oliwę i Gdańsk. Kąpiele morskie w Gdańsku mogą być równie skuteczne, jak w Ostendzie i Biaritz, a ogólniejsze do

w napisach wcisnęło się kilka pochodzących z nieznamości języka błędów.

LISTY Z WYCIECZEK PO WOŁYNIU.

przez

Tadeusza Steckiego.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Wieś Łopuszna.—Bitwa z Tatarami.—Wały i okopy. Cerkiew stara i nowa.—Podania ludowe o nazwisku tej osady.—Wioszcza Pachinia i kilka innych do księstwa wiśniowieckiego niegdyś należących.—Wierzbowiec.—Wspomnienie o Stanisławie Mniszchu.—Czajczynice, historia pałacyku.

O mil dwie od Wiśniowca, a o kilka wiorst tylko od Wyżródka, w stronie południowej od tego mia-

steczka, leży wieś Łopuszna, należąca niegdyś do ks. karmelitów wiśniowieckich, którym nadana została przez ostatniego z książąt Korybutów Wiśniowieckich. Dziś wieś ta w posiadaniu rządu zostaje. Starożytna ta osada stała się pamiętą z powodu sławnego zwycięstwa, które książę Konstanty Ostrogski odniósł nad Tatarami na polach tutejszych, d. 28 kwietnia 1542 r. Obszerna równina od strony Wyżródka ściągająca się, jest właśnie miejscem gdzie bitwę stoczono. Bielski w taki sposób wydarzenie to opisuje:

„Przekopski car w dwudziestu i czterech tysiącach położył kosz u Wiśniowca. Lanckoroński kamieniecki starosta, obesał pany rycerstwo, także służebne, aby się k'niemu ściągali. Konstantyn z Ostroga het. lit. przyjechał téż z swém wojskiem, gdzie wszystkich z naszymi było około sześciu tysięcy ludzi. Polskie wojsko sprawował Mikołaj Kamieniecki wojewoda

krakowski, hetman. Przebił się jeden huf przez Tatarów aż do kosza ich, gdzie więźniowie byli, rozwiązała ich kilku, potem jeden drugiego rozwiązywał: z więźniów stali się rycerze. Tatarowie, strwożeni i spr-

Rzecz dziwna, jak pamięć wielkich wypadków i zdarzeń historycznych i wszelkie o nich podania i tradycje, giną i zacierają się wśród ludu naszego, który najdrobniejsze częstokroć szczegóły z życia domo-



MOST NA ZGŁOWIĄCZCE POD WŁOCŁAWKIEM. (Rysował z fotografii Cegliński).

cowani już będąc, poczeli uciekać, nasi ich gonili, bijąc daleko. Tam wtenczas odbili wielką korzyść plonów wszelakich rzeczy, w dzień św. Witalisa. Więźniów samych odbito sześć tysięcy.“

Strykowski, jednym swym rymem opiewając tę bitwę, tak się w y r a ż a w końcu:

Po łopuszańskich
[polach, gdzie ta
[bitwa była,
Ziemia się krwi
[pogańskiej tak
[bardzo napila,
Iż długo bez na-
[wozu zbożem
[role płodne
Żywiły swych o-
[rączów w one
[lata głodne.
I dziś tam jeszcze
[porząc oracz
[ziemię pługiem,
Dziwuje się ko-
[piom pokruszo-
[nym, długim,
Wyorywa sajda-
[ki, strzały, włó-
[cznie rdzawe,
Najduje i szczał-
[batki i jarmulki
[krwawe.



WIDOK OGÓLNY WŁOCŁAWKA. (Rysował z natury Fabijański).

wego zapamiętywać umie. Tak też się stało i z owym sławnym zwycięstwem łopuszańskim; naprzód, zwiadzając to miejsce, badałem i rozpytywałem się starych wiesniaków i plebana staruszka o jakiegokolwiek szczegóły i tradycje tej bitwy: nic zgola, lub prawie nic powiedzieć mi nie umiano. Przed dziesięcią laty, z rozkazu i kosztem rządu, stanęła w Łopuszynie przeliczna cerkiew murywana, w najczystszyim stylu bizantyńskim, o pięciu kopułach zbudowana, zupełnie prawie na wzór bazylikańskiego monasteru w Tryhurach pod Żytomierzem. Świątynia ta, jakkolwiek piękna co do zewnętrznej architektury i kosztowna, (rząd bowiem przeszło 200,000 złp. na nią wyłożył) tyle jednak ma błędów ludowniczych, że dziś już kilka ogromnych rysów w murze widocznych, rychły jej upadek zdaje się przepowiadać. Po ukończeniu budowy tej cerkwi, rozebrano dawną drewnianą cerkiewkę tutejszą, od 1704 roku istniejącą. Z tej cerkiewki, oprócz erekcji, pozostało kilka jeszcze własnoręcznych przywilejów miejscowego dziedzica, księcia Michała Korybuta Wiśniowieckiego, jako to: na odgraniczenie gruntów cerkiewnych, na wolność mlęwa dla parocha bez miarki i czerhy i t. p. Dokumenty te przechowują się w nowej cerkwi. Fundatorem i architektem owęj staręj cerkiewki, był (jak świadczy erekcja) zamożny włościanin łopuszański, Iwan Rubin, którego kamień grobowy z napisem leży dotąd na starym cmentarzu cerkiewnym, wskazując że tu wraz z rodziną pochowany został. Łopuszna była jeszcze w tym czasie, jak twierdzi podanie miejscowe, wcale nieznaczącą osadą, racjęj futorem, składającym się z kilkunastu chałup po górach rozrzuconych, w których przemieszkivali ów Iwan Rubin, fundator cerkwi, wraz z liczną rodziną swoją. Na tych górach było kilka uroczysk, które dotąd lud pokazuje i każde z nich po imieniu wylicza, do każdego osobną jakąś legendę przytaczając; trawa zaś na tych górach, zwłaszcza łopuch obficie tu rosnący, miał tak wielkiej wysokości dochodzić, że pobudowane tu chaty zdawały się jakby nim pokryte, i ztąd to osadę tę Łopuszną przewano. Podanie to o powstaniu nazwiska Łopuszny, jak wiele innych podań naszego ludu, skażone jest co do daty przynajmniej, boć przecie osada tutejsza i jej nazwisko wiele wcześniejszych czasów sięgają, niż epoki zbudowania cerkwi, t. j. roku 1704, kiedy w 1512 roku odbyła się tutaj owa sławna bitwa z Tatarami, a opisujący ją współcześni kronikarze już miejsce to Łopuszną nazywają.

Przejechawszy Łopusznę, w stronie przeciwniej od Wyżgródka, ciągnie się długie pasmo gór, gęstym borem grabowym i brzożowym porośłych, daleko na północ idących. Na jednej z tych gór, wyższej od innych, pozostało kilkadziesiąt okopów, rzędem jeden za drugim usypanych. Niektóre z tych okopów znacznej są wysokości, a wszystkie doskonale dotąd zachowane. W tém miejscu, jak z pozycyi wnosić można, musiał być obóz polski rozłożony i ztąd dopiero wojsko wystąpiło na sąsiednią równinę i natarło na Tatarów od strony Zbaraza przybywających.

U samego podnóża tych gór, w najromantyczniejszem położeniu, leży malutka wioseczka *Pachinia*, także niegdys do karmelitów wiśniowieckich należąca, dziś rządowa. Malownicze położenie tego miejsca, wijący się tu strumyk, ogromne góry lasem porośłe, fantastycznie przystrojone potężnymi bryłami szarego granitu, rozrzucone nareszcie wśród skał i parowów białe chaty kilku wiosek, tuż jedna obok drugiej położonych, jako to: *Łopuszny*, *Pachini*, *Kornaczówki*, *Szył* i kilku innych jeszcze, które wszystkie w skład dawnego księstwa wiśniowieckiego wchodziły, wszystko to razem wzięte tak dziwnie i uroczo piękne, taki przesłiczny tworzy krajobraz, że podobny jemu bodaj czy na całym naszym Wołyniu znaleźć można.

Wjechawszy w tę okolicę, choć już Wiśniowiec daleko za sobą porzuciliśmy, długo jednak jeszcze majątkami do tego księstwa niegdys należącemu jechać będziemy. Jedne z nich oddawna już poprzehodziły w ręce drobniejszej szlachty, inne, ostatnie okrucy dawniej Wiśniowieczyzny, pozostały w posiadaniu dwóch braci Mniszców, Jerzego i Andrzeja, z których ostatni przed kilką laty schedę swoją wraz z samym Wiśniowcem sprzedał hr. Włodzimierzowi Platerowi. Ogromne siola między górami zamknięte, z przesłicznymi stawami, z gajami wienieciami je dokola, ciągną się długim szeregiem jedne za drugimi.

Otóż dojechalismy i do *Wierzbowca*, majątności Mniszcha, wsi ogromnej, ze stu kilkadziesiątu osad włościańskich złożonej. I tu jary i góry, a na jednej z nich, nadzwyczaj stromiej, obszerny okop, przeszło kilkadziesiąt łokci obwodu mający, widocznie ręką ludzką usypany. Ta góra, w samym środku wsi położona, drobnutką trawką i macierzanką porośła, najeżona sterczącymi bryłami granitu, dziwnie jakos krzemieniecką zamkową górę przypomina. Widok ztąd

zachwycający. W Wierzbowcu przed laty kilkadziesiąt mieszkał Stanisław Mniszech, rodzony brat Michała marszałka wielkiego koronnego, w obszernym domu, dokoła murem opasany, z wysoką kaplicą na facyacie. Pomieszkawanie to, które dotąd nienaruszone pozostało, nadzwyczaj oryginalną strukturą swoją przypomina niby dawne nasze zameczki obronne, czyli raczej jest ich parodią. Sam też właściciel niemieńszym był oryginałem jak siedziba jego, a nawet w rodzinie z tego powodu ciągnął go kuratela otaczano. Był to sobie po prostu dziwak, stary kawaler, przesiąknięty wszystkimi swego wieku nałogami: pił dużo, lubił płeć piękną i drwił ze wszystkich co go otaczali. Na dworze swoim utrzymywał muzykę z kilkunastu ludzi złożoną, która codziennie podczas mszy św. grywać musiała; pomimo to wszystko bowiem był bardzo nabożnym. Za życia rodziców jeszcze przeznaczony został do stanu duchownego, a nawet tytularną kanonią przemyskiej kapituły otrzymał; po śmierci jednak matki rzekł się wszelkich dostojstw duchownych i w świecką rzucił się karierę. Po bracie Józefie został chorążym wielkim koronnymi rotmistrem kawalerii narodowej, ostatecznie zaś, otrzymawszy tytuł szambelana dworu polskiego, obrany został prezesem komisji cywilno-wojskowej powiatu krzemienieckiego. Umarł w Wierzbowcu 1806 r., przeżywszy lat 55. Naoczni jeszcze świadkowie opowiadali mi o wesołych hulankach, jakie się tutaj za życia jego odbywały.

Zniknęły już u nas oddawna podobne typy jakim był chorąży Mniszech i wielu innych bardziej jeszcze charakterystycznych; to też chciwie chwytamy każdy szczegół z ich życia, który coraz to nowym jest obrazkiem, wiernie charakteryzującym minioną epokę, jej życie i obyczaje. Dziś wszyscy, i szlachta i panowie, zarówno do siebie podobni, wszyscy w jedną konwenansową, cywilizowaną przyoblekliśmy się formę, a wszelkiego rodzaju typy zatarły się pod nią bezpowrotnie. Nie mamy wprawdzie tak dalece prawa narzekać na ten obrót rzeczy, lecz i to pewna, że o ile moralna strona narodu zyskała na tej zamianie, o tyle charakterystyczna straciła na niej wiele.

Z Wierzbowca siedm wiorst zaledwie do *Czeczyniec*, wsi należącej do pp. Orłowskich. Tu bieleje już zdaleka piękny pałacyk, na małą skalę wiśniowiecki przypominający, głęboko w ogród wpuszczony. Gustowna ta siedziba i majestatyczne drzewa które ją otaczają, mimowolnie przywodzą na myśl pierwszych swych założycieli, książę Wiśniowieckich. Ostatni tego domu potomek, książę Michał kanclerz wielki litewski, trzy razy był żonaty; ostatnia jego żona, księżniczka Tekla Radziwiłłówna, piękna i bogata dziewczeczka, wielką, jak się to zwykle dzieje, miała przewagę nad starym a jeszcze pełnym galanterii małżonkiem. Razu jednego, wyjechawszy z Wiśniowca na dalszą przechadzkę, zabłądziła pomiędzy skaliste czajczyńskie jary. Zachwycona przesłicznym położeniem tego miejsca, nieznanego jej dotąd, za powrotem nie mogła go się dość nachwalić przed mężem. Książę kanclerz obojętnie jak się zdawało pochwał tych słuchał i odtąd pod łożaitemi pozorami żonę od spacerów w tę stronę odciągał. W kilka tygodni potem nadszedł dzień św. Tekli, imieniny księżny; książę z całym dworem i solenizantką na spacer do dzikich Czajczyńców wyruszył. Okrzyk podziwienia wybiegł z ust wszystkich przytomnych, a rumieniec oblał lica solenizantki; ujrano tam bowiem pałacyk nowy, jakby czarodziejską siłą wzniesiony, mały Wiśniowiec, gustownie i wytwornie urządony. Było to wiazanie czulego pod siwym wąsem małżonka, dla młodej i pięknej żony. Dotąd jeszcze stoi pałacyk ten, dobrze przez dzisiejszego dziedzica utrzymywany, a radziwiłłowskie herby i cyfry na wszystkich sufitach porozrzucane, przypominają romansową historią jego założenia.

V.

Wies Horodyszcze pod Zastawiem; klasztor po-karmelitański i pomnik generała Zakrzewskiego.—Stara cerkiewka św. Mikołaja.—Groby Jerliczów.—Miejscowa legenda.

W czasie jednej z częstych wędrówek moich po Wołyniu, z których nigdy bez jakiegoś nabytku nie wracałem, dojechałem aż do *Horodyszcz*, wsi o pół mili od miasteczka Szepetówki, słynnego w okolicy mineralnymi wodami, odległej. Wies ta malowniczością położenia i kilką miejscowymi pamiątkami zwraca uwagę. Osada tutejsza, jedna z najdawniejszych w powiecie zastawskim, ze stu przeszło chat włościańskich składająca się, rozrzuconą jest wśród lasu na dwóch dość wyniosłych wzgórzach, czystym jak zwierciadło stawem i wpadającym doń strumieniem rozdzielonych. Wązka, przez sam środek wody rzucana grobla, łączy obie części wsi, z których jedna, po

prawej stronie od Szepetówki leżąca, nosi nazwę właściwego Horodyszczu, drugą lud Sieliszczem (Selyszczem) nazywa.

Na początku XVII wieku wieś ta była własnością starożytniej rodziny wołyńskiej, Chomiaków; przy końcu zaś tegoż stulecia któraś Chomiakówna, wydana za Lubomirskiego, wniosła w posagu włość tę, wraz z innymi, w dom męzowski. W Horodyszczu nad samą wodą, otoczony dokoła obszernym sadem owocowym, wznosi się wspaniały kościół i klasztor niegdys karmelitański, jedna z najpiękniejszych świątyń jakie karmelici posiadali na Wołyniu. Niezbyt dawno, zaledwie bowiem w 1746 roku, stanęły śliczne te mury, fundowane przez ks. Lubomirskich i Pogroszemskiego. Dnia 12 maja 1782 r. konsekrował kościół tutejszy Jan Chryzostom Kaczkowski biskup sufragan łucki. Zakonnicy hojnie od fundatorów uposażeni zostali, mieli bowiem nadane sobie na własność dwie duże wsie: Horodyszcze i Paszuki, oraz kapitał 102,000 złp. Żaden też z okolicznych klasztorów nie mógł wyrównać tutejszemu w zamożności; lud z odległych okolic ciągnął do Horodyszcz na odpusty, które kilka razy do roku z wielką solennością odprawiały się tutaj, a niejeden pocieszony ztąd odchodził, zaniósłszy modły do Matki Boskiej, w obrazie tutejszym licznymi cudami słynącej.

W 1832 roku, z rozporządzenia i woli rządu, karmelici klasztor opuścili, a kościół na cerkiew prawosławną obrócono; przed dwoma zaś laty w opuszczonych murach jego zamieszkały mniszki ruskie, z miasta Połonnego sprowadzone.

Jedną z największych osobliwości tego kościoła są przesłiczne freski jego, zdobiące całe wnętrze świątyni i korytarze klasztorne; pomimo opuszczenia, ocalały one dotąd cudownym sposobem. Malarzem ich był ubogi mnich tutejszego klasztoru, imieniem Antoni, żyjący w połowie XVIII-go wieku; jego także roboty są przesłiczne freski w dwóch innych klasztorach na Wołyniu: u pijarów w Lubieszowie i u trynitarzy w Beresteczku. W obszernych grobach pod kościołem horodyskim ciągnących się, spoczywają zwłoki znanego w ostatnich latach zeszłego stulecia księdza Marka, który przedsiadując tu często, żądał być w grobach tutejszych pochowanym; tu również złożono ciało generała Stanisława Eustachego Zakrzewskiego, dziedzica Staręj-Sieniawy na Podolu, który tamże w dniu 21 lutego 1822 r. umarł, przeżywszy lat 98 i kazawszy się w Horodyszczach pogrzebać. Generał Zakrzewski, przyjaciel i towarzyszy młodoci księcia Zajączka, był jednym z tych rzadkich ludzi za czasów Stanisława Augusta, którzy enotę i gorliwość dla kraju w najzepsutszych czasach zachować potrafili. Mianowany generał-adjutantem królewskim w r. 1767, a buńczuczny przy hetmanie koronnym w r. 1775, ostatki życia swojego spędzał w ustroni, oddany cichym enotom domowym i dobrym uczynkom. Był fundatorem kilku okolicznych klasztorów, a szczególnym dobroczyńcą karmelitańskiego w Horodyszczach. Z dwóch córek jego starsza Anna, wydana za księcia Mateusza Radziwiłła, przeżyła ojca, młodsza zaś Róża, Gostyńskiemu zaślubiona, w młodym wieku życie przestała. Księżna Radziwiłłowa, słynna w okolicy z bogobojności, wystawiła ojcu na dziedzińcu tutejszego kościoła kamienny pomnik, dotąd istniejący.

Nierównie starszą od wspaniałego klasztoru karmelitańskiego, jest w Horodyszczach malutka drewniana cerkiewka, po drugiej stronie wody na Seliszczu zbudowana. Na wysokiej górze, nad całą okolicą panującą, rozsiadła się zgrzybiała ta i wiekiem pochylona staruszka, starem lipami dokoła otoczona. Dwa stare obrazy mieszczące się tutaj zasługują na uwagę: *Narodzenie Chrystusa i św. Mikołaj*. Ten ostatni, na drzewie malowany, nadzwyczaj musi być dawny; szkoda tylko że oczyszczeniem nieco nadpsuty i srebrną sukienką, później zapewne dodaną, całkiem prawie zakryty. Erekcyjne dokumenta tej cerkwi zaginęły, niema więc śladu kto był pierwszym jej założycielem; pozostały tylko dawne opisy, w których wspomniano, że wzniesienie jej nastąpiło w 1563 r., że od tej pory kilka razy ją odnawiano, że biskup uniacki Teodozy Rudnicki poświęcał ją w r. 1734, że nakoniec w r. 1816 ostatni raz podważoną i zrestaurowaną została. W latopiscu J. achima Jerlicza, wydanym staraniem K. Wł. Wójcickiego, jest wzmianka, że w tej cerkwi pochowane zostały ciała ojca i stryja jego. Przytaczamy ustęp ten dosłownie: „Roku 1621 dnia 18 maja, w piątek przed św. Trójcą, ojciec mój p. Olizar Jerlicz umarł, którego ciało pochowano w cerkwi horodyskiej, majątności J. P. Chomiakowa Adama, o dwie mile za Zastawiem.“

W innym miejscu pisze autor: „Roku 1662 dnia 14 września, w dzień podniesienia św. krzyża, stryj mój p. Matwij Jerlicz umarł, którego także w Horodyszczu pogrzebiono, przez synowca onego p. Joachi-

ma. Na którym pogrzebie były jmc. księżne Jarosławska, Ostrowska i jmc. pani wojewodzina wileńska, Chodkiewiczowa hetmanowa litewska, który starzał się w domu książy jmc. Ostrowskich służąc i nie żenił się.“ (1).

Pomiędzy ludem w Horodyszczach i w okolicy przechowuje się dotąd śliczne podanie, z dziejami stariej tej cerkiewki splecione. Opowiadano mi, że kiedy przed trzystu laty rozpoczęto budowę jej na przeciwniej stronie rzeki, gdzie poprzednio już kiedyś cerkiew znajdować się miała, św. Mikołaj, patron tutejszy, snadź nie upodobał sobie tego miejsca; pewnej nocy bowiem ulozonc już fundamenta cudownym sposobem przepłynęły przez wodę i ukazały się na tém miejscu, gdzie dzisiejsza cerkiew stoi. Lud z głęboką wiarą o wydarzeniu tém opowiada, wskazując nawet miejsce gdzie niegdys była cerkiew i głęboki dół, z którego jakoby wyszły fundamenta. Jestto jedno z tych poetycznych podań naszego ludu, z którychby cały szereg najpiękniejszych legend utworzyć można, a których taka ilość nieprzebrana krąży na Wołyniu.

Obejrawszy nareszcie wszystko co tu widzenia godnym było, odjeżdżałem z Horodyszcz, rozmarzony ślicznym ich położeniem, a oglądając się jeszcze raz na bielejące z daleka mury klasztoru, mimowolnie wspominałem, jak dziwnym i sprzecznym niekiedy losom wszystko na świecie ulegać musi. Ta wąta drewniana cerkiewka trzy wieki nienaruszona przetrwała, a w ścianach jej dotąd rozlega się głos kapłanów, dopełnia się tajemnica św. ofiary; kiedy przeciwnie obszerne mury sąsiedniego klasztoru, stu lat nawet istnienia swego nie doczekawszy, opustoszały, a zaniedbane, rychłym grozą upadkiem.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z Niemirowa na Podolu, w styczniu 1863 r.

Przy wielu bardzo frasunkach i miejscowych niedogodnościach, z prawdziwą pociechą widzimy powolny lecz istotny postęp mieszkańców naszej okolicy. Skutkiem zmiany stosunków włościańskich, prawie wszystkie wioski przedstawiają już na pierwszy rzut oka korzystną zmianę w swém urządzeniu i racjonalniejsze prowadzenie gospodarstwa. Łany się zmniejszają, hodowla bydła się wzmacnia, a za tém i uprawne sianozęć. Na oddalonych ziemiach budują się nowe folwarki, czyli decentralizują się gospodarstwa. Zbyt oddalone ziemie odprzedają się, interesa regulują; pomnaża się liczba mniejszych właścicieli, a ile na tém kraj, produkcya i przemysł zyskują, zbytecznym byłoby dowodzić. Dziś niema tak małego kapitału, któryby stosownej ilości ziemi nie znalazł do nabycia. Ilez to usamowolnionej pracy, zwiększonej produkcji, gdy przedtém tyle jej marnowano przy powolnie wlekać się pańszczyźnie na oddalone łany! Wszędzie się projektują plodozmiany, zaprowadzają poprawniejsze rasy bydła. Zamiast preferansu, zastaniesz rozmowę o najstosowniejszym urządzeniu gospodarstwa, o najpraktyczniejszych narzędziach i o najlepszym użyciu czasu i pracy. Wprawdzie brak grosza i zbytu produktów, przy obniżających się cenach, coraz dotkliwiej czuć się dają; ale miło przytém jest widzieć jak wiele zbytkownych a przedtém napozór koniecznych wydatków znika z listy codziennych potrzeb. Prawie każdy z zamożniejszych domów do niedawna czuł się obowiązany ponosić pewne wydatki, z których kilka wymienię.

Przedtém potrzebowano dziennie przynajmniej jedną talią kart, co stanowiło rocznie zł. 2400; codzien w przecięciu butelkę wina, prócz wyjątkowych uroczystości, zł. 2400; zniesienie galowej libery, jaskrawych kolorów z herbami i galonami zł. 1000; odezpienie od cugów pary koni z forysiem zł. 1333 gr. 10; usunięcie tłumu haftarek i garderobianych zł. 1333 gr. 10; zmniejszenie o połowę wezwań młodych konsyliarzy do rozdrażnionych nerwów zł. 1333 gr. 10. Z tych kilku przytoczonych oszczędności formuje się rocznie summa zł. 9800, która aż nadto pokrywa zwiększone wydatki na prowadzenie gospodarstwa najemnym robotnikiem.

Lecz o ile stan obywateli zamieszkujących po wsiach bardzo wiele postąpił i korzystni się zreformował, o tyle życie mieszkańców prowincjonalnych miasteczek, jakim jest Niemirow, wiele pozostawia do życzenia. Ożywający duch reform, gotowość niesienia ofiar z uprzedzeń, osobistości i własnej pracy na dobro ogółu, wszystko to przebywa pośród pół wiejskich, złoconych promieniami nadziei. Młodzież szkolna nie-

mirowskiego gimnazjum, która się kilka razy do roku odświeża zdrowym wiejskim powietrzem, wieden w miasteczku wśród życia powszedniego, pełnego drobnostek, próżności, chęci błyszczenia i zbytków. Serce boli, patrząc na młode pokolenie, które wkrótce rozproszone po świecie, rozniesie, z sobą tę próżnię serca, to skrzeple uczucie dla moralnego piękna, to nawyknięcie do życia wystawnego. Lecz o ile winni mieszkańcy, którzy w podobnym życiu dają zły przykład młodzieży, o tyle winni i rodzice, którzy im dostarczają środków do zbytku moralnie poniżającego człowieka.

Nudy pedagogicznego życia widoczne tu są na twarzach mieszkańców. Nie uciekają się oni do umysłowych rozrywek; książek, prócz naukowych, mało, pism peryodycznych prawie niema. Ztąd preferans i obmowy, ztąd posługiwanie się młodzieżą dla swęj rozrywki, granie teatrów, koncertów i śpiewy popisowe. Wyboem przedmiotów w tych popisach nie kieruje chęć kształcenia uczuć młodzieży, ale przeciwnie osobiste, obecne, a tém samym zgubne dążenie. Wszystko to bawi starszych, a łechce próżność młodzieży, wyrabiając w niej żądze oklasków i chęć popisu scenicznego, bodaj w ubraniu i pozach. Przelozeni i rodzice cieszą się z tryumfów, a barwa serca młodego brudzi się i ściiera.

Piętno napuszonosci widoczne na całym miasteczku. Domki małe i nizkie z kolumnadami, których zdaje się i Samsony nie obalił. Sklepy i rękodzielne zakłady szczuple, ubogie, a szylidy sążniste, pełne dziwacznych figur i ognistych liter. Tu nagi Kupidu trzyma wyobrażenie czepka podobnego do peruki; dalej malowidło fortepianu, które łatwo wziąć za wyobrażenie szynki; tu znowu ma być gitara, a wygląda na rafę do czyszczenia zboża i t. p. Wszystko się puszy i nadstawia, jak urzędnik w bobrowym kołnierzu, jak obywatel z bursztynem w ustach, jak wymokły pedagog w krochmalnych kołnierzach i okularach, jak młody gimnazysta w potwornie bufiastym surducie i świecących łańcuszkach.

Lecz z prawdziwą pociechą widzimy, że ta wystawność i pretensjonalność powoli się coraz zmniejsza, że pod silnym parciem ożywczego ducha i opinii wszystko poważnieje. Widocznie iż sami mieszkańcy miasteczka czują tę swoją słabą stronę i chciwie lgną do towarzystwa które im ze wsi napływa, a które jest dla nich źródłem życia, wiary, wzmocnienia. Przekonałem się o tém naocznie w czasie bardzo licznego tu zjazdu w d. 6 grudnia zeszłego roku. Z odległych stron ściągali wiejscy obywatele, korzystając ze zręczności jarmarku, aby przytém odwiedzić dzieci, braci, znajomych, aby tych wszystkich przy rodzinnym pocalunku, podaniem bratniej ręki przyrzagnąć do swęj piersi i owiać duchem uroczystej powagi, wytrwałej pracy i skromności. Pamiętam przedtém kilka niemirowskich jarmarków: ile to pękło butelek wina, ile kart zużyto, ile niepotrzebnej wystawy, hałas! Dziś w samej powierzchowności widać skromność, powagę i jakąś dojrzałość obywateli-rolników, których zadaniem uczciwą pracą pomnażali dobro kraju choćby o jedno ziarno. Natomiast wiele przegadano, wiele się nauczono. Opinia publiczna jasno i wyraźnie wskazała słabe strony ogółu. Z serdeczną też ochotą i pośpiechem złożył każdy według możności ofiarę, na podanie środków kilkunastu kończącym gimnazjum młodzieńcom, aby udać się mogli na uniwersytet. Zaproponowano pp. pośrednikom pokojowym ustąpienie połowy z swęj pensyi na stały fundusz utrzymania kilkunastu młodzieży w naukowych zakładach, i przekonano się że drugą połową pobieranej przez nich pensyi, to jest 5000 zł., można opędzić wszelkie wydatki tego urzędu, a będąc sumiennym i bezinteresownym urzędnikiem, szukać nagrody w sercu i wdzięczności tak obywateli jak i włościan. To prawdziwie piękna i dostateczna nagroda, a z dobrego przykładu bezinteresowności i ofiary, złoży się w jednym Podolu przeszło 240,000 zł., za które można utrzymać i wychować paręset młodzieży. A jakąż to wielka pomoc dla jednej gubernii, tak znaczna liczba specjalnie ukształconych ludzi, gdy dotąd kapitał ten zniknął bez śladu i pożytku dla ogółu, zużywał się na drobnostki, na odnawianie domów, pozwozów, mebli i t. p. Jednocześnie kilku obywateli ofiarowało po kilka morgów ziemi na założenie wzorowych folwarków, w którychby uprawiano rośliny potrzebujące rozpowszechnienia, jakoto: pastewne buraki, różne gatunki rzepaków, traw, drzew szpilkowych, które się najkorzystniej dadzą u nas zastosować. W tych zakładach kilkunastu niezamożnej młodzieży praktycznie się przygotowuje do zajęcia posad zarządu gospodarstwa na większą skalę. Tu najpewniej i najtaniej można będzie nabyć różnych nasion i objaśnień dokładnych sposobu ich uprawy, przypatrzyć się praktycznemu zastosowaniu narzędzi rolni-

czych, dostać różnych gatunków bydła jakie się u nas okazały najpraktyczniejsze, a które dzisiaj tak są konieczne dla zrównoważenia gospodarstw, dotąd nadmiare zbożowych.

Plaga, w oczekiwaniu której drżała okolica cała: pożary—dzięki Bogu przeminęły. Od czasu spalania się miasteczka Woronowicy, po którym z tak serdecznym współczuciem pośpieszyli z pomocą sąsiedzi, a szczególnie sam dziedzic Woronowicy i młodzi pp. Gr., wszyscy się uspokoiłi. Lecz w tych dniach znowu zgorzało kilka domów obywatelskich, szybko jeden po drugim, jak się przekonano, skutkiem zbyt misternego, a mówiąc po prostu złego urządzenia kominów. Właściciele narażeni byli na przestrach i straty; szczerze ich żaluję, ale kraj, okolica niewiele na tém straciły. Były to dziwolągi architektury, nakreślone ręką nieumiejętną. Dziwną jest pretensya niektórych u nas panów, szybkiego przejścia z pod strzech słomianych domów dzierżawczych lub ekonomicznych, do najeżonych, zębatach wieżyc i ciosowych balkonów. Zdaje się że w tak nagłym przejściu trudno wykształcić w sobie gust, poczucie piękna, a ztąd powstają arabsko-gotycko-szwajcarskie domy, bez ładu i składu. W takich to mieszkaniach kleponych, dobudowywanych, nalepionych wieżami na fundamentach starych domów, trudno jest bezpiecznie przeprowadzić ogniowe kanały i kominy, i ztąd najczęściej pożary. Okolica nasza grzeszy pałacami. Trudno z pałaców sterzących dumnie zejść do roli, do trzody, do ludu, do szkółek, bo wszystko to tak powszednie, tak niskie! Ale to wszystko dziś żyje i woła: *zejdźcie tu do nas!*

O! bodaj jaknajprędzej strony nasze przybrały charakter skromności, pracy, dostatku, jakimi się odznacza prawie cała Litwa! Tam wszędzie widzisz wygodne i piękne skromnością domki, otoczone wspaniałymi lipami, w pośród których brzęczy pracowita piasieka. Dlatego też miłość i szacunek dla tej strony natchnęły tyle poetów pięknymi o niej strofami, a o nas dotąd jeszcze mówią i piszą:

Gorszy niż pan na Wołyniu,
Jest pół-panek na Podolu.

Sulina.

Kraków, d. 15 stycznia 1863 r.

Zajęcie wzbudzone wyborem posła, skończyło się; Kraków znowu ucichł, wyczekując postanowien sejmiku rozpoczętego we Lwowie na d. 12 t. m. Natomiast szranki dziennikarstwa rozszerzają się. We Lwowie wyszedł już jeden numer nowego pisma politycznego p. t. *Goniec*, pod redakcją p. Henryka Nowakowskiego. Z zapowiedzianego programu wypływa, że rozwijać się on będzie na gruncie patentu konstytucyjnego, i z tego punktu wychodząc, łączyć ma i spajac ze sobą wszystkie żywioły, w celu wspólnej organizacyjnej pracy. W Krakowie również mówią o wkrótce mającym się ukazać tygodniku czy codziennym dzienniku politycznym. Z literackich przedsięwzięć księgarz tutejszy K. Wildt rozpoczyna nakładem swoim z końcem stycznia tygodnik na wzór waszego, treści przeważnie belletrystycznej. Ukazywać się ma co kilka tygodni zeszytami. Przepowiedni czynić mu nie można, wątpimy atoli, czy belletrystyka sama da się u nas przeprowadzić; ogół dzisiaj pragnie poważnych rzeczy i nie chce już uczyć się leciutkim sposobem. Zły to znak dla powieściopisarstwa, lecz dobrze cechuje naszą publiczność, łaknącą gruntownej nauki.

Z najnowszych dzieł podaję wam niektóre: 1) Poezje Cypriana Norwida. Lipsk, u Brockhousa 1862 r. Spory ten tom obezna czytających z oryginalnym rodzajem poezyj tego pisarza. 2) Studya o guslach, czarach, zabobonach i przesadach ludowych. Poznań, nakład Merzbacha, 2 tomy. Jest to bardzo uczony i staranny wywód, pożądanym szczególnie dla badaczy specjalnych. 3) Książka dla ludu polskiego, zebrał i spisał Tworzymir z Wielkopolski, część I. Leszno, nakład Günthera, 1863 r. Książka ta, zawierająca opowiadania, powieści i wiersze wyborowe, poleca się sama swoją użytecznością. 4) Obrazki historyczne, ulozone dla młodocianego wieku. Kraków, nakładem J. Wildta, 1863 r. Powiastki krótkie tutaj zawarte, mniej więcej każdą epokę trafnie charakteryzujące, są następne: Barbara Radziwiłłówna; Marya Leszczyńska; Przyjazd do Krakowa i koronacja królowej Jadwigi; Sobieski pod Chocimem; Spotkanie się króla Jana III z cesarzem Leopoldem I po oswojeniu Wiednia d. 15 września 1683 r.; Opis przyjęcia posłów polskich w Paryżu przez Henryka Walezyusza w roku 1573; Jakie było wojsko w dawniej Polsce; Ubieżenie zamku krakowskiego w r. 1772; Tadeusz Kościuszko; Wytwornis i strojnisia z XIV wieku.

(1) Latopisiec albo Kroniczka Joachima Jerlicza, wydał K. Wł. Wójcicki, T. 1 str. 34, 35

W teatrze naszym nic nowego nie zaszło, wyjąwszy kilku wystąpień p. Jasińskiego, dyrektora teatrów warszawskich. W kilku sztukach w których go widzieliśmy, pokazał się wytrawnym artystą. W „Pojedynku“ zgrabnym i efektownym dramaciku, grał księcia de Chevreuse z prawdziwą werwą młodzieńczą i z głębokim przejęciem się rolą. W Pamiętnikach szatana związał się zwawo, pomimo podeszłego wieku, a poświęcenie się i szlachetność przedstawianego charakteru wyraziście umiał uwydatnić. Jeżeli teatr nie był tak zapełniony, jak na to p. Jasiński grał swoją i położonemi trudami około sceny zasługiwał, to winno temu jedynie podwyższenie cen, któremu uboga nasza publiczność poddać nie jest w możności.

OPOLE NA SZŁĄSKU.

Opole, stolica obwodu regencyi, jakoteż i całego Szląska górnego, miasto liczące 488 domów i 9600 mieszkańców (między którymi 6800 katolików, a 590 starozakonnych) leży na prawym brzegu Odry, w tém miejscu już splawnej. W X już stuleciu czytamy wzmiankę o niem, bo w r. 995 czy 998 św. Wojciech, biskup gnieźnieński i nawrócił pogan, postawił tu kościół, poczytywany za najstarszy na całym Szląsku. Zdaje się że świątynia ta stała się punktem środkowym, około którego później wznoszono domy mieszkalne, a takim sposobem z czasem powstało miasto. Od początku XIII stulecia, za Władysława Laskonogiego, Opole było stolicą książąt górnośląskich.

Obok innych miast na Szląsku, i Opole ucierpiało wiele od Tatarów, którzy w r. 1241 do szczytu je zniszczyli. Od czasu tej klęski, rząd ówczesny stracił wszelką powagę, a rycerze bezkarnie rabowali poddanych. Bolesław II, wnuk św. Jadwigi, człowiek nie tylko słabego umysłu, ale przewrotny i porywczy, bynajmniej nie był zdolnym ani do rządzenia krajem, ani do podźwignienia go z ruiny; bracia zaś jego, doszedłszy do pełnoletności, domagali się podziału spadku, który też nastąpił. Od r. 1260, to jest po śmierci Mieczysława, Władysław, założyciel klasztoru

cystersów (z Polski sprowadzonych) w Rudce (Raudten) i dominikanów w Raciborzu i Opolu, był panem całego Szląska górnego. Zostawił on kraj synom swym do podziału, a tym sposobem aż 44 udzielnych powstało tam księstw. Posiadacze ich ustawicznie z sobą wojowali, a kraj nieszczęśliwy cierpiał skutkiem tych zatargów. W wojnie księcia Władysława z książętami krakowskim i mazowieckim, Polacy w roku 1273 spalili przedmieścia Opoli; Władysław Jagiełło obległ je, choć bezskutecznie, w r. 1396, a w r. 1532 umarł w niem Jan, ostatni książę opolski, poczem



RUINY ZAMKU W OPOLE NA SZŁĄSKU. (Rysował z litografii Lewicki).

cesarz niemiecki zabrał miasto, mimo oporu margrabi brandeburskiego.

Nie na tém jednak koniec klęsk jakie dotknęły Opole; bo w czasie wojny trzydziestoletniej zrabowane przez Duńczyków w r. 1627, w r. 1632 zajęte zostało przez Sasów, którzy obwarowawszy je mocniej, opierali się wojsku cesarskiemu oblegającemu gród, a po zawarciu pokoju w Pradze, dopiero w r. 1635 wyruszyli z niego. Nakoniec zdobyli je i Szwedzi w r. 1643.

Opole dotknięte także zostało licznymi pożarami. Zgorzało ze wszystkiém raz w r. 1504, drugi raz w r. 1645, a wtedy sto osób przeszło życie utraciło. Kronikarze wspominają o znacznych pożarach w latach 1682, 1684, 1689 i 1739, tudzież o strasznym w r. 1680 powietrzu.

Po tak rozmaitych a ciężkich dolegliwościach, niewiele naturalnie w Opolu przechować się mogło starożytnych pamiątek. Do ocalonych chociaż w części zabytków należy stary zamek, przedstawiony na załączonym drzeworycie. Niewiadomo dziś kto go wybudował, zdaje się jednak iż Mieczysław I (1201—1241) był jego założycielem, bo dokument d. d. Rybniki, dnia 4 sierpnia 1228 r. wydany przez księcia Kazimierza I (1211—1230), a znaleziony w klasztorze w Staniątkach, nakazuje, żeby zamiast ogrodzenia z drzewa, *castrum et oppidum* murem opasać, z dodaniem że *palatinus Clemens* obowiązany jest do ponoszenia połowy kosztów. Tyle pewna, że w r. 1654, zatem po zawarciu pokoju westfalskiego, z całego zamku stała jeszcze wieżyca czworograniasta, obrócona na szpiclerz, i murowana stajnia; reszty zaś obszernego budynku wtedy już śladu nie było.

W XIV stuleciu napotyamy wzmiankę o nowym zamku na tak zwanój Pasiece, z którego pozostała wieżyca okrągła, druga czworograniasta i kaplica zupełnie zniszczona. W nim żył i umarł wyżej wspomniany książę opolski, imieniem Jan, z przydomkiem *Kropidło*, tak przewzany z powodu gęstych, długich i kędzierzawych włosów.

Jeden z zasłużonych historyków szląskich w tej chwili zajmuje się napisaniem monografii Opoli, niezadługo wyjść mającej. Po jej zjawieniu się obszerniej może pomówimy o dziejach tego miasta.

O ZAMIERZONEM WYDAWNICTWIE DZIEŁ SYROKOMLI.

Opiekunowie i przyjaciele rodziny po s. p. Syrokomli pozostałej (jak donoszą pisma publiczne), przygotowują wydanie pośmiertne *wszystkich* dzieł zmarłego poety. Przedsięwzięcie to obrachowane jest na 42 tomów, z których każdy obejmować będzie 30 arkuszy druku, ogólny zaś koszt wydawnictwa wynosić ma około 80,000 złp.

Niedawno Gazeta Polska (w Nrze 44 z r. b.) podała w tym przedmiocie bardzo zdrowe i praktyczne rady, których zasadność w zupełności uznajemy. Autor powołanego artykułu zwraca na to uwagę, że pokrycie tak wysokiego nakładu z funduszu rodziny s. p. Syrokomli zanadto byłoby ryzykownem; w dzisiejszym bowiem stanie piśmiennictwa naszego trudno zareczyć, czy kraj, pomimo najgorętszego współczucia, zdobędzie się na rozkupienie kilku tysięcy egzemplarzy dzieł w większej już części rozpowszechnionych, których przytém cena, z samego względu na objętość, przystępna być nie może. Autor przeto rzuca myśl, według nas bardzo szczęśliwą, żeby celniejsze tylko utwory Syrokomli zebrać w jeden tom wielki i zrobić z tego wydanie wspaniałe, pomnikowe, zarówno pod względem treści, jak i zalet zewnętrznych, a przytém tanie, z dodaniem życiorysu zmarłego poety, jego wizerunku i stosownych ilustracji. W zupełności także podzielamy zdanie Gazety Polskiej, że nietylko tu isć powinno o uczczenie poety, którego pamięć i tak pozostanie niezatartą w narodzie, ile o cel praktyczny, ażeby ofiarą częstkową ogółu, zapewnić przyszłość jego dzieci.

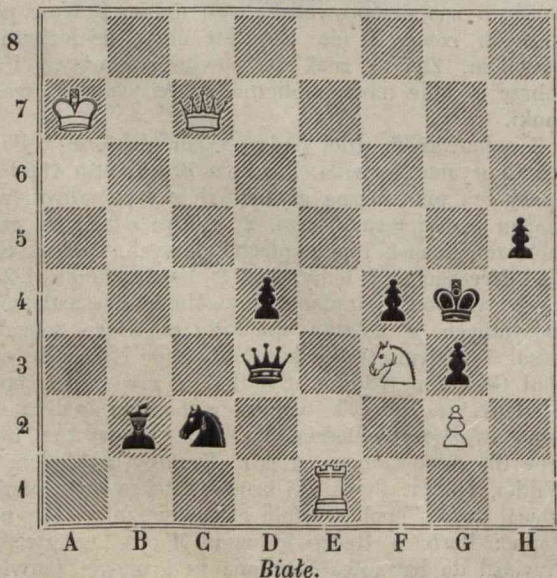
Podnosząc myśl pożyteczną autora rzeczzonego artykułu, natchnioną widocznie i zdrowém pojęciem warunków samego przedsięwzięcia, i szczerą życzliwością dla tych, którym ono przynieść ma materialne korzyści, upoważnieni jesteśmy przez wydawcę naszego Tygodnika (p. Józefa Ungra) do podania pod

SZACHY.

ZADANIE CXL.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 139.

Białe. Czarne.

- 1) E3 — E7 † 4) E8 — F8
- 2) C7 — D8 † 2) D6 — D8 biorą.
- 3) E7 — E8 †† 3) F8 — E8 biorą.
- 4) H5 — F6 † i mat.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 473. Gdzie mieszka pycha, tam i duma gniazdo sobie ściele.

(Dodatek).

rozpoznanie osób zajmujących się losem rodziny s. p. Syrokomli następującego projektu.

P. Unger podejmuje się skutecznie wydanie dzieł Syrokomli, o ile pomieszczyć się dadzą w jednym tomie okazałym w wielkiej ośmce, na wytwornym welinowym papierze, wyłącznie na dochód spadkobierców poety, ofiarując zakredytowanie druku, papieru i wszelkich innych kosztów wydawnictwa, tak aby fundusz rodziny pozostał nietkniętym. Tom taki obejmowałby około 50 arkuszy druku, koszta zaś, biorąc za normę nakład 10,000 egzemplarzy, przedstawiałyby się w cyfrach okrągłych jak następuje:

papiéru ryz 1060 po zł. 60	zł. 63,000
druk i satynowanie papiéru	18,000
zbrozuruwanie	4,300
okładka z drukiem	500
drzeworyty	10,000

Razem zł. 92,800

Podług przyjętego przez księgarzy zwyczaju, stanowi się zwykle cenę przedaźną książki, licząc po 20 gr. za arkusz, co na 50ciu arkuszach dałoby zł. 33 gr. 40. Mając na uwadze format, wykwinność papieru i druku, oraz drzeworyty,—cenę tę uważać należy za bardzo niską, i wątpić nie można, że 10,000 egzemplarzy rozeszłoby się w krótkim czasie, zwłaszcza jeżeli wydanie przepychem drukarskim i wartością artystyczną drzeworytów przewyższy rzeczywistość wszystko, co dotychczas w kraju naszym wykonano. Podobnie spodziewać się należy, że pp. księgarze, ze względu na cel szlachetny wydawnictwa, zechcieliby poprzestać na rabacie 10%: odjąwszy przeto od summy spodziewanej ze sprzedaży zł. 333,333 gr. 40, koszt powyższy zł. 92,800 i rabat zł. 33,333 gr. 10, pozostałoby czystego zysku dla rodziny przeszło 200,000 złp.

Rozumié się samo z siebie, że obliczenie powyższe jest tylko przybliżone; ale téż kilka lub nawet kilkanaście tysięcy złotych więcej albo mniej niewiele tu stanowi. Zależéć to będzie głównie od ceny papieru i ilości drzeworytów.

Jeżeli pomysł ten trafi do przekonania opiekunów, w takim razie życzyby należało aby p. Oskierka albo ktobądź z literatów wileńskich przybyć zechciał do Warszawy, dla osobistego porozumienia się z wydawcą Tygodnika Ilustrowanego względem warunków całego przedsięwzięcia, tudzież dla narady z kilkoma literatami tutejszymi, co do wyboru dzieł Syrokomli w owym tomie pomieszczyć się mających i wskazania artystom-rysownikom przedmiotów do ilustrowania.

Rzuciliśmy tu tylko pierwszy szkic projektu, który, jeżeli zostanie przyjętym, w wykonaniu uleży jeszcze może licznym przeistoczeniom, stosownie do woli i uznania osób do tego upoważnionych; w każdym jednak razie mniemamy, że myśl, której zasługa należy się Gazecie Polskiej, podjęta została przez wydawcę naszego Tygodnika w sposób bezinteresowny i zasługujący na bliższe roztrząsanie.

OBRAZY LITEWSKIE.

przez

BOLESŁAWA RACKIEWICZA.

(Dalszy ciąg).

II.

Poezya ludowa, fantazyja.

Namiętny Litwin, smętne dziecko z nad brzegów trockiego jeziora, nosi w duszy ideał szczęścia i od kolébki go pieści. Z najwyższą więc roskoszą buja myślą po świecie nadzmysłowym, zapelnia go białymi duchami, wierzy w nieśmiertelność, i to mu przynosi ulgę w cierpieniach. Anioł śmierci, co zadumał się głęboko nad mogiłą drogich zmarłych, smutny tylko dlatego, że długo czekać musi, nim ukochani znów powstaną, aby żyć wiecznie. Myśl nicości ani razu nie przesuwa się przez głowę prostaczka, a wdzięczna struna pieśni o lepszym życiu, ani razu w nim nie przycichnie. Człowiek wierzący wiarą dziecka w świat zaziemski, szuka drogi co by go tam zaprowadziła jeszcze za jego tulactwa doczesnego. Zład w przekonaniu ludów młodzieńczych, duchy zmarłych ciągle błąkają się po ziemi: podczas nocy pogodnych otwierają się grobowce, wychodzą z nich zmarli i w rozmaity sposób dopominają się u żywych zadosyćuczynienia za grzechy, stojące im na przeszkodzie do zbawienia. Czasem i żywi, nie przechodząc śmierci podwoi, dostają się do królestwa Bożego. Niejeden siwy staruszek, któremu parzko było żyć na świecie, któremu żona i dzieci pomarli, wziął kij w rękę, torbę na plecy i szedł tak długo, nim krainy wiecznej jasności nie doścignął. Matka nieraz wstaje do córki płaczącej

(Dodatek do Nru 174 Tyg. Ilustr.)

nad jej mogiłą i rozmawia z nią z pod ziemi, bo miłość jej tak wielka, bo lzy sieroty tak krwawe, że zdolne są nawet umarłych obudzić. Nieraz młodzieńcze dziewczę wraca z cmentarza smutnie uśmiechnięte, mimo że kilka chwil temu płacz jej słyssały okoliczne dąbrowy i smugi rozległe. Sierota, nim odda rękę lubemu, bieży poradzić się swęj matuli pod białym piaskiem śpiącej. Piastunka, przez kilka nocy z kolei, widzi matkę wpatrującą się w kolébkę dziecka, które zbyt wczesnie opuścić musiała. Na cmentarzu białe postacie siadają pod krzyżem i patrzą z gorzkim uśmiechem na świat niby żywy, a jednak drżący.

Alé nietylko smutne schronienia umarłych są mieszkaniem duchów: każde drzewo, każdy strumień i ruina bywa ich siedliskiem. Jak na świecie, podług mniemania Litwina, są dwa pierwiastki, złego i dobrego, tak i po za grobem dwie te potęgi istnieć muszą. Duchy nieczyste unoszą się w postaci smoków ognistych w powietrzu, bujają nad domem bogacza i skrzynie jego srebrem napelniają. Duchy-kusiele w postaci koziołka swawolą wieczorem po bagniskach, albo przedzierzgnawszy się w owcę, kładą się po drogach i nęcą podróżnych nadzieją zdobyczy; ale gdy niebaczny gospodarz na wóz je włoży, męczą konie, na samego ich pana patrzą dziwnym wzrokiem i w końcu z głośnym śmiechem znikają w powietrzu. Tęcza, to olbrzymi smok, pijący z morza wodę, aby ją następnie w postaci deszczu na ziemię wylać. Biada człowiekowi, biada żywinié, gdy wtenczas znajdzie się nad brzegiem: smok wszystko w siebie wciągnie. Niéma starca, dziewczyny, któraby choć raz w życiu upiora nie widziała. Gdy podczas długich wieczorów zimowych zbiorą się dziewczęta z całej wioski w jedno miejsce, aby opowiadać bajki i pieśni śpiewać, często gąśnie nagle w izbie luczyno i daje się słyszeć lekkie stukanie w okienko, jakby podróżnego, co zziębły i drżący prosi o nocleg litoskiego gospodarza. Dziewczę szybko odsuwa, widzi twarz przyjemną, choć oczy wrogie, i już ma zaprosić nieznajomego do chaty, gdy oto spostrzega, że podróżny ma kurze nogi. Nic nie mówiąc siostrze, zamyka okno, tuli się w kątek i drzy z bojaźni. Równiennice domyślają się przyczyny i trwoga je wszystkie ogarnia: zbiegają się więc w jedno miejsce, siedząc w niem nieporuszone, póki kur pierwszy nie zapieje.

Mnóstwo powieści kraży między ludem o wypadkach w podobnych okolicznościach zasłych. Niech tylko gospościa wychyli się bardzo za okno, nieczysty skróci jej głowę, a kadłub krwią pluskający wpadnie do izby. Zły duch boi się znaku krzyża i w smołę się rozlewa, gdy go świętość dotknie. Zład tyle szkaplerzy i różańców lud litewski nosi na sobie. Ludzie nocujący latem w polu, widzą czarownice zbierające przetakiem kwiat żytni; kasza zeń ugotowana, ma nadawać wiedźmom moc latania po powietrzu na drewnianym ożogu. Czarownica, która chce polecieć na górę gdzie diabli wyprawiają płasy i narady, musi takiej kaszy nagotować, stanąć przed konimem i wziąć jej łyżkę w usta; poczem natychmiast moc nieznaną ją porywa i wynosi przez komin aż na czarów górę. Często się zdarza, że wiedźma zapomina schować garnek z pokarmem magicznym; wtenczas każdy co się go dotknie, jedzie, choć niechcąc, na ucztę szatańską i staje się świadkiem narad tam odbywanych. Alé biada nieszczęśliwemu, gdy złe duchy spostrzega, że nie należy do ich potępięczego grona. W każdej wiosce są dziewczęta posiadające urocze oczy i baby czarownice. Młodzieniec chory na słabość nieuleczoną, dziewczyna nagle popadająca w niemoc suchotniczą, są ofiarą ich złośliwości. Czarownica, chcąc wydoić krowę sąsiadki, zawiesza ręcznik niebielony na kołku i przy stosownym obrzędzie podstawi pod niego naczynie, a mléko samo zeń płynąć będzie. Są ludzie, którzy umieją przemieniać się w wilkołaki. Ażeby z człowieka zwierzęciem zostać, dosyć jest wetknąć nóż w pień drzewa zrabanego, o który siekiera nie uderzyła obuchem, i przewrócić przez niego koziołka. Tym sposobem pod postacią wilka można pasterzom wykradać owce i cielęta i zanosić je do swojej obory. Wilkołak zostanie znów człowiekiem, gdy napowrót przez nożyk da koziołką; lecz niéma rady na nieszczęście, jeżeli nożyk jaka nieopatrzna ręka z pnia wydobyla. Niewiasta wpatrująca się z uczuciem w nowonarodzone dziecię przyjaciółki, pewno je urzeknie. Są młode matki, które boją się przyglądać piękności swoich niemowląt, aby im wzrokiem uroczym nie zaszkodzić. Gospodarz nie lubi gdy mu nieznajomy chwali konie i woły; baba przeklina gościa, gdy jej powinszuje pięknie rosnących ogrodowizn. Poczciwy a biedny rolnik, nie wierzy aby kto został bogatym przez oszczędność i pracę; zły duch tylko może bogactwem obdarzyć, alé trzeba mu zato cyrograf na własną duszę napisać.

Ciekawych kilka podań kraży o Twardowskim na Litwie. Jedno z nich, nieznane jak się zdaje, powtórzę.

Twardowski był młodzieńcem pięknym i rozumnym, mieszkał w stolicy królestwa nad morzem leżącym. Chodził on nieraz nad brzegi falą szumiące i wpatrywał się ze smutkiem w głębiny. A przechodziła tamtędy często nadobna królowna, córka panującego w kraju, którego Twardowski był poddanym. Podobala ona sobie błędnego młodzieńca, uśmiechnęła się do niego raz jeden i drugi i słodkiem spojrzeniem przyobiecawała mu miłość. Po szczęśliwej chwili wzajemnych zwierzeń, rzekła królowna Twardowskiemu, żeby podczas ciemnej nocy przyszedł pod jej zamek marmurowy i przywiązał się do białej długiej chusty, którą go ona do swęj komnaty wciągnie. Wypełnił rozkaz namiętny młodzian. Otworzyły się szyby kryształowe, biała chusta zajaśniała wśród cieni: uchwycił się jej Twardowski i w téjże chwili dziewczyna podniosła go ku górze. Alé niestety! w pół drogi chusta stanęła, królowna przywiązała jej koniec do ramy okna i zatrzasnęła je z siłą, szyderym śmiechem pogardy raniąc serce zalotnika. Śmiech ten powtórzyło morze, powtórzyły gaje nadbrzeżne. Twardowski zgrzytnął zębami, i nie widząc dla siebie innego ocalenia, zaczął wołać szatana o ratunek, aby się nie stać pośmiewiskiem ludu, gdy jutrenka widokres rozjaśni. Diabeł przybył na pomoc ze stolikiem i wołową skórą. Twardowski napisał na niej cyrograf na swą duszę krwią z małego palca, poczem zły duch pomógł mu zstąpić na ziemię i przyrzekł wspierać go w zemście nad królowną. Nazajutrz w całej stolicy wygasł ogień co do jednej iskiarki; lud zaczął rozpaczać i przyszedł króla prosić o ratunek. Ktoś szepnął królowi, że jest w mieście pewien młodzian, co potrafi iskry cudem wydobywać. Król kazał go odszukać. Zjawił się Twardowski i oświadczył monarsze, że ma sposób na nieszczęście: trzeba tylko ażeby jego córka wyszła za miasto, stanęła pod drzewem i dozwoliła, ażeby lud zapalał luczyną od płomieni kotłami jej język buchac będzie. Trudna była rada: król dla dobra poddanych poświęcił własne dziecię. Taki był pierwszy figiel Twardowskiego, taki jego wstęp do przyjaźni ze złym duchem. Raz wszedłszy w piekielny sojusz, już od niego uwolnić się nie mógł. Zgubiła go kobieta; on jej odpłacił hańbą; alé sam z czołem poraném piorunem zawisł w nieskończoności.

Druga legenda mówi o początku ognia.

Wtenczas gdy na świecie ludzi jeszcze było mało, a wszyscy byli niewinni i dobrzy jak gołębki, Bóg pod postacią człowieka chodził często po ziemi i uczył swoje dzieci, jak mają korzystać z darów które utworzył. Widząc że ludziom złe bez ognia, zapalił biały kijek w płomieniu niebiańskim, a wędrując po świecie, uderzał nim o kamienie, i tym sposobem rozrzukał iskry, które następnie pozwalał zbierać i ogniska rozniecać.

Dla Litwina jeszcze niebo, jest to wielkie kamienne sklepienie; świąty wędrują po niem i do morza bałtyckiego na noc zachodzą. Sklepienie to za morzem dosięga ziemi; kobiety, chodząc prać bieliznę, dosięgają go pralnikami, a ludzie tam czarni jak węgiel, bo słońce, stojąc zbyt nisko, osmala im skórę. Bocian, jest to kobieta ciekawa, której Bóg dał worek z gadami i polecił aby je wrzuciła do morza. Kobieta chciała zobaczyć co w nim siedzi, rozwiązała go i niebaczna rozpuściła znowu po świecie żaby i gadziny. Bóg przemienił nieposłuszną w ptaka i kazał mu przez całe swoje życie oczyszczać z plugactwa okolicę. Biała szyja i piersi, to biała koszula wieśniaczki, czarne skrzydła i ogon, to jej ciemna spódnica. Bocian, będąc sam człowiekiem, nie oddała się od mieszkań ludzkich, zostaje z niemi w przyjaźni i zabijać się go nie godzi. Kukulka, to zaklęta królowna; jaskółka, to gadatliwa siostra rycerza, która zdradziła tajemnicę wojny, aby ocalić kochankę w przeciwnym obozie mieszkającego; sowa, to smutna dziewczyna, której młodość uwiędła niepoznana. Niektóre z tych obrazów pełne są poetycznej rzetowności, inne ironią bolesną uderzają na społeczeństwo. Sierota, nie mogąc już znieść niezadowolonych razów macochy, uciekła przed nią na dach chaty; macocha na dole przekleństwem grozi i szuka pasierbicy, a dziewczynka, siedząc na słomianej strzesze, drzy z bojaźni. Lećciał wtenczas ponad domem stado dzikich gęsi; sierota ku nim zwraca prośby swoje o pomoc. Zlitowały się gąski, i każda po jedném piórku rzuciła nieszczęśliwej; sierota ubrała się w puchy, rozpięła skrzydła i uleciała z ptaszkami w kraje większej sprawiedliwości i miłosierdzia.

Inna powieść:

Smok leżał pod kamieniem gniojącym mu głowę, jęczał z boleści i gniewu, alé nie miał dosyć siły, by

się oswobodzić z niewoli. Nadszedł człowiek; skarga, prośbą i płaczem gad poruszył duszę litościwą. Człowiek drągiem podważył kamień i smok stanął wolny przed swoim oswobodzicielem; lecz zamiast wdzięczności, oświadczył iż go pozrzeć musi. Próżno błagał poczciwy wieśniak, próżno wyrzucał gadzinie jej niewdzięczność i wystawiał niedolę żony i dzieci gdy je zostawi sierotami. „Ha! widzisz mój kochany, mówił gad do niego, na świecie płacą zdradą za dobrodziejstwa, za łaski. Tak ludzie powszechnie postępują, dlategoż ja do nich stosować się nie mam? Żal mi jednak ciebie, poczciwy gospodarzu, i dlatego nie chcę samowolnie rozrządzać dolą twoją. Chodź, pójdziemy w drogę i oddamy się pod sąd tych, których napotkamy; jak oni poradzą, tak zrobie.”

Zgodził się na to wieśniak, ufając, że przecież znajdzie sprawiedliwość na świecie. Zaledwo uszli kilkadziesiąt kroków, napotkali psa schudzonego. Smok odpowiedział mu przysługę swoją, a człowiek skarżył się na nieszczęście które go spotkać miało. Pies spojrzął w oczy poczciwemu gospodarzowi i tak się odezwał: „Smok ma słuszność, że ciebie pozrzeć pragnie. Patrz na mnie, jakim słaby i mizerny. Za młodu służyłem wiernie panu i nieraz ocalałem mu mienie i życie. Póki byłem silny i czujny, głaskał mię i karmił; dziś, gdy mnie na stare lata siły opuściły, wypędził mię z domu na pożarcie wilkom. Zjedź smoku swego dobrodziejca, bo takie jest prawo sprawiedliwości na świecie.”

Człowiek nie przystał na sąd brytana, gad był wyrozumiałym, szli więc dalej i konia napotkali. Koń wskazał na swoje gnaty sterzące i boki wychudłe, a skreśliwszy w krótkich wyrazach swój żywot i zasługi dla człowieka położone, wydał podobnież wyrok potępiający. W ten sposób smok z człowiekiem napotkali jeszcze kilka zwierząt, a każde pochwaliło jego zamiar, przytaczając zwyczaj powszechnie między ludźmi panujący.

Już wieśniak tracił nadzieję, gdy oto lis jeszcze zaszedł im drogę. Lis pilnie wysłuchał sprawy, spojrzął w oczy jednemu i drugiemu i rzekł, iż jako sumienny sędzia nie może bezstronnie wydać wyroku wprzód, nim obejrzy miejsce w którym czyn został spełniony i nim się przekona w jaki sposób oswobodzenie się odbyło. Smok i człowiek wrócili pod ów kamień. „Pokaż panie smoku jakieś leżał, zaczął lis, ty zaś człowieku podnieś drągiem skałę, ażeby zwierzę mógł lepiej głowę pod nią wsunąć i ułożyć się w ten sposób, jak był ułożony nimeś go oswobodził.” Gospodarz głaz podniósł, smok legł pod nim, wieśniak drąg wyciągnął i kamień znowu przycisnął głowę gadu. Wtenczas lis się zaśmiał i rzekł: „Leż tu, panie smoku, póki się nie znajdzie drugi taki poczciwiec, co zechce cię oswobodzić; ty zaś wieśniaku wracaj do swojej zagrody i nie słuchaj na przyszłość żalów smoczycy.” Tak lis rozszedł sprawę na korzyść sprawiedliwości. Chytry dopiął tego, czego pracowity i wierny nie mógł dokazać.

Wysoka moralność tej powieści zanadto jest widoczną, ażebyśmy ją objaśniać potrzebowali. W różnych stronach można ją usłyszeć, ale to pewna, że głęboko myślący lud litewski, skryty i niedowierzający, umiejscowiając boleć w milczeniu nad tem co okolo siebie spostrzega, przedją jak każdy inny mógł być jej ojcem. Zakres tego pisma nie pozwala nam wdawać się w dalsze szczegóły i zmusza nas poprzestać tylko na rysach ogólnych.

Po tem cośmy powiedzieli o fantazyi litewskiej, wiadać jasno, iż ona, jak pieśń, jest kwiatem samorodnym. O pałacach, o zaklętych królewnach z tysiąca nocy, i na Litwie są wieści szerokie. Trudno przypuścić, ażeby tak Litwin jako i Mazur z książki uczyli się powieści, które sobie o zmroku wieczornym opowiadają. Wtenczas kiedy one już były znane ludowi, jeszcze Galland się nie urodził, jeszcze nawet zachodnia Europa, a tém bardziej Polska, nie czytała tych ognistych wschodnich fantazyj. Powieści tych lud uczył się chyba wtenczas, gdy pod cieniem palmy rozmyślał o życia szczęśliwościach i celach. Trudno przypuścić ażeby wieśniak gwarzący o zaklętym pałacu, z którego nikt wyjść nie mógł, dla mnóstwa pokojów tak z sobą połączonych, że każdy w nich zbłądzić musiał, a z których wyszedł bez szkody tylko jeden rycerz za pomocą wróżki i kłębka z niemi, ażeby wieśniak ten słyszał o labiryncie Faraonów, albo o Minosie i Tezeuszu. W fantazyi litewskiej, jak zresztą w fantazyi każdego ludu, są dwa pierwiastki, które z łatwością odróżnić od siebie można. Jedne powieści powstały z zapamiętania dawnych dziejów człowieczeństwa, drugie nad Niemnem urosły. W pierwszych widać żywą wyobraźnię, cudowność i jaskrawość wschodnią; w drugich czuć zawieszony nad bohaterami szare, smutne niebo, gorycz maluje się w ich

rysach, a w słowach słyhać żal za straconą niewinnością, skargi na prawa ludzkie i losu niesprawiedliwość. Litwin wierzy mocno w prawdy przez kościół katolicki węń wszczepione, nie roztrząsa ich, nie wątpi i to mu wystarcza. O pogańskim niebie (dangus) zapomniat. Czasem tylko, jakby mimowolnie, grzmoty tłumaczy turkotem wozu, na którym piorun się przejeżdża po firmamencie. Piorun tylko wtenczas uderza w człowieka, gdy diabeł się za niego przed ciosem niebios skryje; pęknięty kamień w polu był przytułkiem podczas burzy wyleknionego szatana. Gwiazda spadająca, to dusza człowieka oderwana od nitki żywota; kwiaty rozmawiają w gaju, gdy nikt nie słucha; woły gawędzą, gdy człowiek jest od nich daleko. Ten ze śmiertelnych, co śmiałością albo przypadkiem dostanie kwiatu paproci, staje się wszechwiedzącym jak bóstwo. Parobek jakiś w noc św. Jana poszedł do lasu, szukał trzody zabłąkanęj; chodził między ziemią i nie wiedział że mu za cholewę wpadł cudowny kwiatek. W tej jednakże chwili przejrzał ciemności gąszczów, znalazł żywinę i zapędził ją do obory. W drodze słyszał jak woły rozmawiały, iż tej nocy przyjdzie złodziej i okradnie ich gospodarza. Parobek wczas zaradził złemu i zbrodniarzy ujął. Ale cóż, gdy znuzony rozebrał się aby pójść na spoczynek, wytrząsnął z obuwia paproć i znowu stracił wiedzę, i znowu stał się jak przedtem ciemnym człowiekiem.

Jak widzimy, w fantazyi ludu litewskiego są wybitne różnice od fantazyi innych ludów; podania dawnych wieków, pragnienia i idee młodych pokoleń, ujęte są często w formy poetyczne i pod postacią powieści łatwo z ust do ust przechodzą. Pieśń jest więc karmią sere niewieści, powieścią drużyna mężka częściej się bawi; i słuszną aby kobieta w dziedzinie uczucia, mężczyzna w dziedzinie myśli królował. Myśl głęboka, ubrana w formy poezyi, jest dzieckiem dusz wielkich, wychowanych nie przez jedno pokolenie, ale przez wieki—bo czémże jest wiedza, jeżeli nie darem, na który tysiące lat się składały?

Zapatrząc się na poezya ludową ze stanowiska estetyki, musiałem opuścić to wszystko, co nie nosi na sobie cechy piękności i natchnienia, co nie jest poezya. Jak między polnym makiem i różą kaków a oset nieraz wyrasta, tak między podaniami ludu błakają się często historie, które nie pochodzą z natchnienia i tylko brudzą czystą ich krynicę. Często się zdarza i to, że myśli wielkiej, że uczucia silnego niezdolne są pięknie odmalować usta, które swoich wyrażań uczyły się z ryku trzody i szumów lasu sosnowego. Do kapłanów piękna, do umysłów wyższych należy zrozumieć i odróżnić od siebie kwiaty w cieniu dąbrowy wyrosłe, od zielska powstałego na bagnie brudnych namiętności.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

Pomiędzy dziełami Pawła Delaroche, znakomitego malarza. Francyi, znajduje się rysunek *Geniusza uwięzionego*. Rysunek ten, znaleziony w tece artysty, już po jego śmierci wydanym został na widok publiczny i rozpowszechniony szyćchem. Niewiadomą jest myśl tego rysunku, znaczenie tej tajemniczej postaci *Anioła straconego*, czy też *Geniusza uwięzionego* (Génie captif, jak go Karol Blanc nazwał), ale to pewna, że geniusz ten, to artysta sam, to obraz jego ducha o skrzydłach anielskich, o pragnieniach i dążeniach wzniosłych, którego jednak boską naturę przygłuszyła potrzeba poklasku społeczeństwa, z łona którego wyszedł. Delaroche z wyteżoną uwagą przysłuchiwał się głosowi świata, głos ten niepokoił go w pracowni, zawisał nad olówkiem i pędzlem, strącając z wysokości idealnej pomysły poety, a bohaterów i motorów dziejowych nieraz w zwyczajnych śmiertelników przemieniając.

Karol Blanc tak się o *Geniuszu uwięzionym* odzywa: „Niewiadomo czy rysunek ten przeznaczonym był dla dłuta, czy dla pędzla; w każdym jednak razie figura ta nader jest wdzięczną w układzie, naturalną w swém opuszczeniu i rozpaczy, szczęśliwie zrównoważoną w ruchu, narysowaną miękko i delikatnie. Ta wyborna draperya pokrywająca nogi, ta pierś obnażona, te włosy rozwiane, te skrzydła opuszczone i wsparte na kamieniu, wszystko razem porusza i zachwyca patrzącego. Przynać musimy że usposobienie Delaroche odbiło się w tém dziele całkowicie; obok wielu przymiotów, brak pojęcia stylu, czy to skutkiem pierwotnego wykształcenia, czy też wady organizacyi artystycznej mistrza, od razu uczuć się

daje; artysta nie zdołał nigdy dostatecznie zapomnieć modelu, ani otrząsnąć się z drobiazgowej prawdy.”

Zdziwi się może czytelnik, iż zamysławiając pisać o wystawie krajowej, zaczęliśmy od rzeczy w żadnym napozór związku z przedmiotem traktowanym nie będącej; ale lekkie to zbroczenie darować nam musi, bo przebiegając sale wystawy i nagromadzone obecnie dzieła sztuki, ogarniając myślą rozwój artystyczny wielu malarzy krajowych, obraz geniuszu przykutego do ziemi, z okiem boleśnie wlepionem w niebo, ze zwisłemi skrzydłami, i mistrz Delaroche, co wielki swój talent do wymagań swego społeczeństwa naginał, co był odbiciem naszego czasu, który umie tylko małą stronę wielkich rzeczy widzieć, mimowolnie stawał nam na myśli. Ta wizya artystyczna, która nas na wystawie prześladowała, sprawia też, iż porzucając rozbiór szczegółowy wszystkich dzieł znajdujących się na niej obecnie, ograniczamy się na skreśleniu rozwoju znakomitszych u nas talentów.

Liezbnie biorąc, najszerze miejsce na wystawie zajęły bitwy lub epizody wojenne: Zdobywanie wąwozu Samo-Sierra, Jagiello pod Grunwaldem, Żółkiewski pod Cecorą, Sobieski pod Wiedniem, Berek pod Kockiem, Powrót Lisowczyków z podjazdu, Zasadzka Tatarów i t. d.

Bitwy nas zajmują, bo w zapasach wojennych zbiegło życie narodu. Bitwy nasze są dramatyczne, bo nie przedstawiają symetrycznie ustawionych i wzajem godzących na siebie szeregów, ale indywidualności, z których każda naciera, zwycięża, lub umiera za siebie. Bitwy nasze są piękne, bo w nich tętni świeże, młodzieńcze życie, romantyzm w całej pełni rozkwita, a te luźne indywidualności, ci rycerze samopas pole dziejowe przebiegający, bardziej się podają do sztuki, niż porządne dzisiejsze społeczeństwo, ujęte w konwencyonalne formy. Więc też malarze malują bitwy, malują rycerzy w rozmaitych fazach legendowego ich życia; i słusznie, idzie tylko o to, jak pojmują te rzeczy, jak przedstawiają te dramata i w jakim kierunku zarówno na tej jak i na innej drodze sztuka się u nas rozwija.

Pierwszym co w naszych czasach świetne czyny rycerskie w plastyczne formy sztuki malarskiej ująć zapragnął, co usiłował nadać kształty widome bojowym pniom poetów, jest p. J. Suchodolski. Życie artystyczne tego malarza, mnóstwo dzieł przez niego wykonanych, zasługują na szczególną uwagę i znakomite w historii poczynającą się u nas sztuki zajmują kiedyś miejsce. Dziś obejmujemy tylko jego dzieła od lat kilku pojawiające się na wystawie, wykażemy daną w nich jakoby zapowiedź dla przyszłości i zastanowimy się nad rzuconem przez niego młodszemu pokoleniu artystów zadaniem. W tych kilku latach dzieła przedstawione przez p. J. Suchodolskiego, sięgają zawsze czasów ostatnich, czasów strategii, szeregów, kolumn, czasów nader trudnych dla sztuki. Zobaczymy jednak jak z tym niewdzięcznym przedmiotem radzi sobie artysta.

Odwrót z pod Berezyny. Na śniegiem zasutęj przestrzni, na równinie wzniesionej lekko ku ostatecznym krańcom horyzontu, rozwija się smutny dramat. Szeregi, którym ład i ścisłość nadaje tylko prowadząca tu i owdzie droga, wiją się jak sploty węża po śnieżnym calunie i zbiegają ku pierwszemu planowi, rozpryskują w epizody, w smutne i bolesne szczegóły. Całość imponująca i poważna, przykuwa do siebie uwagę widza; niema tu wprawdzie na pierwszym planie jednej wybitnej sceny, któraby zesrodkowała w sobie całą trwożę, zgrozę i rozpacz tego straszliwego dnia i nadała tym sposobem jedność przedmiotowi; brak w kolorycie ponurego tchnienia właściwego podobnej scenie, któraby dramat wymowniejszym uczyniła; ale mu niebrak wielkości i malowniczości, warunków tak pożądaných, tak koniecznych dla myśli. Pan S. w tego rodzaju przedmiotach pojmuję wielką stronę, w myśli jego szeroko malują się sceny bojowe i w szerokich też rozmiarach stają przed widzem.

W bitwach w Hiszpanii przez Polaków staczanych, p. S. umiejętnie skorzystał z położenia górzystego miejscowości, jak to uważaliśmy w *Przejściu wąwozu Sierra-Morena* i w obecnie przedstawionem *Zdobywaniu wąwozu Samo-Sierra*. Ostatni ten obraz, pod względem pojęcia i kompozycyi, przewyższa wiele innych utworów artysty. Wąskie przejście, ponad którym wznosi się wysoka góra, we wszystkich swoich zagłębieniach zapełniona żołnierzem nieprzyjacielskim, najeżona strzelbą. Prosto w zięjące paszcze armat rzuca się Koziatulski, ze szczerpym swoim oddziałem. Bohater już jest w pośrodku wąwozu, jeszcze jeden skok rozniesionego konia,—a Koziatulski dosięgnie pierśi wroga, co zrospaczony chciałby raz jeszcze wybuchem armatnim pomścić się za przegraną. W massach na górze stojących pospiech, szalone ruchy, świadczą-

ce o zupełnej nieobecności rozwagi, niemniej wzniezione namiętne ku niebu ręce księdza stojącego na szczyście, jak gdyby ztamtąd chciał sięgnąć pioruny na głowę zwycięzców — zapowiadają także blizką i nieuchronną przegraną. Widz, stając przed obrazem, nie potrzebuje przebiegać od szczegółu do szczegółu, kombinować i domyslać się: rzecz odrazu, jasno przedstawia się jego myśli. Kozieltulski jest tu wzięciem akcyi, do niego odnoszą się wściekłe zapędy nieprzyjaciół, za nim dążą nieustraszone szeregi bohaterów, a cała scena pełna ruchu, wrzawy, i szalonego zapędu, dobrze odpowiada wyobrażeniu jakie sobie o bitwach tworzymy.

Pod względem kolorytu, rysunku, modelowania, zarówno ciał ludzkich jak i koni, oraz wyrazu oblicza walczących, dużo jest do zarzucenia, i dlatego też w epizodach i obrazach historycznych na oddaniu charakteru polegających, p. S. powodzenia mieć nie może; ale obrazy przedstawiające bitwy, zawsze są u niego bitwami, namiętne i dziką walką, uszlachetnioną odwagą i poświęceniem. Geniusz wojny unosi się ponad nimi.

P. J. Suchodolski jest najstarszym u nas malarzem tego rodzaju, złamał on pierwsze lody. Zobaczmy co też robi młodsze pokolenie.

Z większych utworów p. Sypniewskiego, oprócz poprzednio przedstawionej *Bitwy pod Obertynem* i *Zdobycia Białogrodu przez Krzywoustego*, mamy obecnie *Jagiellę pod Grunwaldem*, *Żółkiewskiego pod Cecorą*, z epizodów zaś *Zasadzkę Tatarów*. Jakkolwiek ocenialiśmy już poprzednio niektóre utwory p. Sypniewskiego, chcąc jednak wykazać kierunek w jakim rozwija się talent tego artysty, raz jeszcze wrócić do nich musimy. *Bitwa pod Obertynem* była pierwszym większym utworem p. S., pierwszym, w którym się odważył kreślić pędzlem dzieje narodu. Wybór był dobry, przedstawienie niezłe, i my też powitaliśmy dzieło to jako zadatek przyszłości, oceniali z pobłażaniem, wyszukiwali z miłością przymiotów, wykazywali czem mają być bitwy polskie, aby rozwijającemu się talentowi i szersze pole otworzyć, i radosnym przyjęciem dodać otuchy na przyszłość. I w istocie, rozłożone wedle kroniki obozy na wzgórzach, nieład pomiędzy Wołochami, postawiona w świetle postać wodza, jasno rzecz wyrażały. P. S. bohatera dnia tego na dalekim planie umieszczając, uniknął trudnego nader, bo w granice już wyższej twórczości wkraczającego skreślenia i uplastycznienia, tak w obliczu jak ruchu, idealnie postaci wodza polskiego. W tym skromnym zakresie nadanym dziełu przez odsunięcie wodza na plan daleki, p. S. wywiązał się dobrze z zadania swojego, a wystudowane naleźycie i oddane z prawdą ubiory i zbroje, niemniej jak wprawne już w technice ręka i oko, z obrazu bitwy pod Obertynem uczyniły obraz interesujący.

Po tym obiecującym utworze, ukazało się *Zdobycie Białogrodu*. P. S. sięgnął wyżej i bohatera czterdziestu wygranych bitew, Bolesława Krzywoustego, na pierwszym umieścił planie. Król, wysunawszy się z pomiędzy walczących, uderza w bramę. Tu już układem linii ani ruchem mass ratować się nie było można, tu trzeba było wydać w postaci potęgę, piorunem z oblicza rzuconym rozświecić i rozjaśnić scenę, tu król sam obowiązany był mówić za wszystkich; zamach jego ręki miał skruszyć ostatnią zapórę, obalić ostatni ratunek nieprzyjaciela. Zadanie było zbyt wielkie na siły rozwijającego się dopiero talentu, artysta upadł pod jego wielkością; nie sądziliśmy go jednak surowo, — bo p. S. próbował swych sił.

Tuż za Białogrodem, zjawiała się *Zasadzka Tatarów*. Tu, przynajmniej należąca pochwałę grupie napastników, wyrazistej i mówiącej, zrobiliśmy uwagę, że artysta nie korzystał z bogactwa obranego przedmiotu i zamiast bolesnego dramatu, tak często w owym czasie na ziemi naszej się odbywającego, zamiast ustępu z dziejów smutnego żywota osad naszego pogranicza, przedstawił poprostu zaczajonych Tatarów, w małym, niejasnym i trudnym do odszukania stosunku ze zbliżającym się weselem będących.

W utworze tym brak widoczny głębszego zastanowienia, brak przeniknięcia duchowej strony przedmiotu; wielka rzecz z małej strony ujrzana i przedstawiona.

Bitwy pod Grunwaldem i *Cecorą* naznaczają jeszcze dobitniej ten smutny kierunek. Nie można było lepszej chwili wybrać do oddania w obrazie bitwy grunwaldskiej, jak śmiertelny pojedynek Dypolda z Jagiellą; ale cóż, kiedy ta szczęśliwie obrona chwila, ten sławny ustęp sławnego zwycięzcy, artysta pojął ze strony wyłącznie zewnętrznej. Zbroje, ubiory, broń, nawet sposób natarcia i trzymania orężów, prawdziwe i wierne; tylko pod stalowymi zbrojami rycerzy niema, tylko duch bitew nieobecny. Nie można jednak zarzucić, żeby pod temi zbrojami ciała, czyli ludzi

w materialnym znaczeniu nie było, żeby konie złe były rysowane, lub malowanie niewłaściwe przedmiotowi i niedostateczne do oddania treści. Cała strona formalna, techniczna, jakkolwiek niedoskonała, o tyle jest dobrą, iż przeszkody w urzeczywistnieniu pomysłów nie przedstawia; cóż, kiedy w duszy artysty nie płonie święty ogień natchnienia, kiedy oltarz stawia widocznie bóstwu formy, szczegółów i szczegółków. Cóż, że w błyskawicznym przelocie zjawi się pomysł, wybierze dobrze chwila, kiedy ten pomysł niewypielegnowany z miłością, karleje w oddaniu, kiedy błyskawica rozświeca tylko opustoszałe ognisko duchowe.

Bitwa pod Cecorą lepsza jest od bitwy grunwaldskiej, ale tylko pod względem formalnym. Żółkiewski stoi w środku obrazu i gestem ręki odrzuca podawanego sobie konia; dwaj rycerze, jeden z przodu, drugi z boku, w kłęczącej postawie, nakłaniają wodza, żeby się ratował ucieczką; po prawej widza ciura obozowy ucieka z wozem, rozprzegając tabor; po lewej za Żółkiewskim mały poczet naszych, a za nimi tuż Tatarzy; po prawej zamęt nie mówiący. Całej kompozycji brak jasności: ani ucieczka i rozbiecie naszych, ani tryumf przeciwniej strony niewydatniony; co więcej, zupełny brak ruchu sprawił, iż grupa środkowa, zamiast imponować chwilowym swym spokojem, a rzewnością i dramatycznością podnosić wrażenie całości, zlewa się z resztą szczegółów, układa do ujemnej równowagi. Wpatrując się w obrazy p. S., domyślamy się, że istnieje u niego żywioł artystyczny, ale mętny, zgłuszony czciami szczegółów, niewydobyty na jasność. Nie rozszerzamy się tutaj nad przymiotami światłocienia, rysunku, koloru, nad właściwością traktowania, również jak nad usterkami szczegółowymi, czy w pozycji figur, czy w rozłożeniu grup i planów u p. S. napotkać się mogących; znawców tego rodzaju dosyć jest wszędzie i uwag pochwalnych i naganych w tym względzie nie zbrakło artyście. Naszym zadaniem na dziś jest, bądź co bądź, wstrzymać sztukę krajową od przechylenia się na stronę formalną, od rozlubowania się w poezji zmysłów, świecącej a bezduszej. Dzieła sztuki nie ze krwi ani z woli ciała, ale z ducha się rodzą. Ślepe naśladowanie nigdy życiem nie zaletni, a rozumne wtedy tylko owoc wyda, kiedy artysta, idąc w ślad czy to za wielkim geniuszem, czy też śledząc tajniki natury, własne ja z powijaków niemowlęstwa rozwija i w duchu bratnim lub w naturze szuka dróg Opatrzności. Sąd ten wydać się może za surowym i byłby nim rzeczywiście, gdyby nie przewodniczyła mu prawdziwa miłość sztuki. Wyszliśmy już, dzięki Bogu, z niemowlęstwa, i nie idzie już nam obecnie o wspieranie pierwszych wysileni poczynającej się sztuki, ale o właściwy jej kierunek i wzrost.

Z utworów p. Pillatego, w rodzaju historycznym lub historyczno-obyczajowym, mamy obecnie: *Spotkanie Jana Sobieskiego z Leopoldem cesarzem niemieckim*, *Berka pod Kockiem* i *Powrót Lisowczyków z podjazdu*. P. Pillati od niedawnego czasu przeszedł z rodzaju obyczajowego na pole historyczne; zanim go więc jako malarza historycznego oceniamy będziemy, musimy chociaż pobieżnie rzucić okiem w niedaleką przeszłość. Wszystkie prawie obrazy rodzajowe p. P. odznaczają się ruchem i życiem; artysta pojął doskonale nasze typy mieszczańsko-ludowe, zna naturę konia, chwytą szczęśliwie przyrodzone ruchy człowieka, i za pomocą tych ważnych dźwigni wyraża myśl swoją jasno i energicznie. Jego *Galaniarka*, jako obrazek rodzajowy, jest bardzo dobra, a *Targ na Muranowie* świadczy, że p. P. potrafi rozporządzać massami, wprowadzać ład i malowniczość w najróżnorodniejsze żywioły. Ta możność ogarnięcia odradzonego przedmiotu i stopienia szczegółów w całość artystyczną, mogła być z korzyścią przeniesioną na pole historyczne, posłużyć do ovladnięcia mass wojujących, do oddania zebrań gwarnych, hałaśliwych, i poczucie też w sobie tego ważnego przymiotu, pociągnęło zapewne p. P. na pole dziejowe. Ale że na polu dziejowym prawda zwyciężająca, którą oddychają jego postacie, i życie powszednie nie wystarcza, ztąd obrazom tego artysty na pole historyczne wkraczającym, brak pojęcia przedmiotu ze strony jego wielkiej, nieprzemijającej, ogólnej; prawda dziejowa zastąpiona prawdą małą, pospolitą i w miejsce perspektywy moralnej, zyskującej się przez odrzucenie szczegółów zbyt rzeczywistością technicznych i odsuwającej zarówno postacie jak fakta w dal dziejową, użyta perspektywa materialna. Niedostatki to zbyt wielkie, by pozostałe przymioty dobrego rozpołożenia planów i zręcznego grupowania, zdołały same przez się utworzyć obraz historyczny.

Rzucone tu ogólne uwagi rozjaśnijmy sobie na obrazach. Pierwszym utworem p. Pillatego, co już z lekka zaczepia o historię, jest obrazek rodzajowy, przedstawiający wykontuszowanych szlachciców wychodzących

z winiarni. Artysta mógł w dwojaki sposób skorzystać z obranego przedmiotu: albo przedstawić surowo gorszący stan obyczajów za czasów ostatnich królów polskich, rzucić nam ostro w oczy smutne przysłowie: „Za króla Sasa, jedź, pij i popuszczaj pasa,“ albo też, rzecz pochwycając z humorem, jak to robili mistrze holenderscy, pod larwą pijaństwa, wykazać dobroduszną prostotę i hulaszczą wesołość, nie oglądając się na jutro. Kto chciał malować kontusze, powinien był wiedzieć, że dotykając się stroju narodowego, dotyka się narodowego życia, i że mu już bezmyślnych, gminną prawdą nacechowanych postaci umieszczać nie wolno, niewolno robić krotoczwili z występku lub wady ogólnej, stawiać zabawnej maskarady, na miejscu prawdy obyczajowej. Pierwsza ta próba przeszła prawie niepostrzeżona, nieodkryta krytyką, a jeżeli ją tu wspominamy, to tylko dlatego, że ten lekkomyślny wstęp artysty, ten popęd dany umysłowi w stronę przemijającą, niekorzystnie się odbił w utworach jego późniejszych. Pan Pillati, sięgając wyżej, nie mógł się otrząsnąć z przywyknień myśli i ręki, i obrazy jego późniejsze pozostały mniej więcej na stanowisku nieodpowiedniemu zadaniu historycznego malarstwa.

Powrót Lisowczyków z podjazdu, w którym szlachcic sprawił się dobrze i konie sobie zdobył. Gęsta jego mina, pomimo słoty i zimna, i całe otoczenie odpowiednie, myśl jasno wyraziły. Rodzaj (genre) tu przeważa, a w tej gałęzi malarstwa pan Pillati okazał już poprzednio niepospolite zdolności.

Zjawił się następnie *Berek pod Kockiem*, a w nim też same przymioty ruchu i życia, ładu i malowniczości, pojętej ze strony zewnętrznej. Berek rzeczywiście odważnie i do ostatniego się broni, napastnicy nacierają z zajadłością, śmierć nieuchronna wisi nad głową powalonego na ziemię człowieka, koń ranny upada z wyraźną i przejmującą boleścią; tylko Berek nie jest bohaterem, figurą historyczną, tylko sposób w jaki cała rzecz jest wypowiedziana nie odpowiada przedmiotowi historycznemu, czyli inaczej mówiąc, brak artyście właściwego stylu do wyrażenia czynów dziejowych.

W *Spotkaniu Sobieskiego*, jako w obrazie większym zarówno rozmiarem, jak samymże przedmiotem, wada ta daleko więcej uczuć się dała. Styl naiwny w jakim traktowane jest spotkanie dwóch monarchów, nie odpowiada zupełnie zadaniu. Jest tu, tak samo jak u pana Sypniewskiego, przedstawiona mała strona wielkiej rzeczy, z tą tylko różnicą, że u p. Pillatego jest ruch i życie, że w grupie środkowej, głównej, jednoczy się i skupia akcja, a wszystkie szczegóły dążą wyraźnie do wyjaśnienia głównej myśli. Leopold, chociaż odwrócony tyłem do widza, wyraźnym ruchem ciała podany jest ku Sobieskiemu, a ręka w bok ku jednemu z dworzan wyciągnięta, niemniej jak głowa odwrócona, widocznie są ruchem tymczasowym. Sobieski zbliża się poważnie, a otaczające ich tłumy z uwagą przypatrują się spotkaniu królów. Wszystkie te jednak zalety, któreby obrazowi rodzaju owemu artystyczne znaczenie nadały, w obrazie historycznym nie są dostateczne. Sobieski, otyły i ciężki, jakkolwiek w tej postaci zgodny jest z podaniem jakie o jego stroju fizycznym mamy, niezgodny jest z prawdą dziejową. Pan Pillati nie zauważył, że sztuka nie żyje prawdą powszednią, ale prawdą moralną, prawdą ducha; że artysta powinien odrzucić wszelkie naleciałości zewnętrzne i przedstawić nam pogromcę Turków, bohatera chrześcijaństwa, wydobyc na jasność wielki ten dziejowy charakter, nie zaś dać nam portret fizycznie tylko do Sobieskiego podobny, albo raczej ciało w miejsce człowieka; że Leopold wreszcie powinien dźwigać na sobie cały ciężar upokorzonej dumy, a ta figurka zręcznie tocząca koniem, lekka i wdziedzczna, nie przystoi monarsze, lecz chyba jego paziowi.

Rozstrój tu widoczny pomiędzy myślą a wykonaniem. Pan Pillati powinien pośpiesznie zrobić obrachunek z siłami swymi artystycznymi, talentu na rzeczy pozorne nie marnować, ani go też dla przemijającego powodzenia na niewłaściwą przyrodzoną zdolności kierować drogę. Czytajmy biografie sławnych w sztuce mężów: jakaż to praca olbrzymia, jaka wytrwałość, jakie wyczerpanie wszystkich władz ducha, dla dopięcia celu! Człowiek wspiera artystę, a praca geniusza.

Uwagi nasze nie dążą jednak do zwrócenia pana Pillatego z drogi historycznej, zamiarem naszym jest tylko dać mu uczuć konieczność potrzebę głębszych studyów, zarówno nad duchem dziejów, jak i nad sposobem ich wyrażania, zachęcić do pracy wewnętrznej, do badania treści.

Pan Gerson jest może jedynym u nas artystą, który talentu swego próbował wszechstronnie. Energi czny jego pędził dotykał naprzemiany krajobrazu i historii, obyczaju i świętości, wnosząc w każdy z tych rodzajów oryginalny sposób pojmowania i często rze-

czywiste natchnienie. Znaczenie pana Gersona jako artysty, rozpoczyna się od krajobrazu przedstawiającego *Burzę*, przyslanego na wystawę szkoły sztuk pięknych, jeszcze przed otwarciem wystawy krajowej. Pod jego ręką odetchnęły nasze pola, zobaczyliśmy cichą, rzewną, a jednak głęboką poezję naszych okolic, zobaczyliśmy polskiego chłopca w rozmaitych fazach pracowitego i skromnego jego żywota. Chłop p. Gersona, czy to chroni krówkę od burzy, czy duma nad zdychającym koniem, czy odprowadza na wieczny spoczynek drogą jakąś istotę, czy wtędy nawet, gdy niewciągnięty w żadną akcję dramatyczną czy liryczną, staje poprostu jako typ rzeźki, młodzieńcy, lub znękaną wiekiem, troskami i pracą, — zawsze jednak na tle spokojności i prostoty odkrywa nam głębszą stronę serca człowieka, zawsze w tych pierwszych pracach czuć obecność ducha. Obrazki te niewielkie, w przedmiotach swych proste i dostępne ogółowi, a pod względem technicznym o tyle dobre, o ile niezbędnie potrzeba było do wyrażenia myśli, zapewniły powodzenie wszystkim dalszym pracom tego artysty, i słusznie. Przedmioty te były swojskie i przepromienione tą tęskną poezją, co wówczas kielkowała w formie całego społeczeństwa, tém niewęziętem jeszcze w formie życia domaganiem się duchowem, tą pobożnością z jaką zbierano wszystko co przeszło i wszystko co pozostało.

Wkrótce po obrazkach obyczajowych, zjawiał się *Slepy Homer*, prowadzony przez pacholę. W tym utworze artysta dał dowód, że nieobcą mu jest budowa ciała ludzkiego, że badał to arcydzieło Boże i że niezadługo człowiekowi samemu powierzy wyrażenie podnioslejszych swych myśli. Scieśnione ramy, brak lub małe znaczenie akcesoryjów mogących wydatnie myśli, które i w następnych utworach widzimy, wskazują nam to dążenie artysty do oddania wszelkich myśli jedynie za pomocą wyrazu oblicza i ruchu ciała, skierowanie się jego ku gwiazdzie indywidualności, co wielkim mistrzom na polu historycznym przewodniczyła. Żywioł ten indywidualny, którego zapowiedź daje nam *Homer*, widzimy stumionym całkiem w *Pasterzu tatrzańskim*, figurze mętnej, bez wyrazu i poezji; pojawia się zaś nanowo w *Świętym Wawrzyńcu*. Obraz to już większy; figura św. Wawrzyńca, więcej jak w połowie naturalnej wielkości, nie przedstawia wprawdzie wniebowzięcia i eskazy duchowej, ale jest figurą dobitnie indywidualnością nacechowaną, człowiekiem z pośród nas wziętym i w obec męczeństwa znajdującym w duszy swojej spokój i rezygnację. Figura Wawrzyńca mówi i czuje, a chociaż się do niej modlić nie możemy i nie jest traktowaną w stylu właściwym świętym przedmiotom, zajmuje nas i daje do myślenia. W stronie technicznej wielki tu postęp; ręka idzie za myślą, w dotknięciu jest pewność, a kolor, odrazu kładziony taki, jakim go chciał mieć artysta, prawie bez laserunku oddaje miąższość ciała. Modelowanie wydatne a nieprzesadzone, rysunek poprawny, łączą się z kolorytem o wiele jaśniejszym i świeższym jak w *Góralu* i *Homerze*.

Święta Jadwiga naznacza zwrot artysty w stronę idealną. Również dobrze namalowana jak św. Wawrzyńiec, nie ma obok swjej idealności oznaczonego pewnego charakteru, a mętny spirytualizm niedostatecznie wynagradza nieobecność tego ważnego przymiotu; za to starzec przyjmujący jałmużnę jest prawdziwym indywidualum, a cechą wybitną jego charakteru pobożność. Dzięki tej figurze, obraz mówi i żyje.

Inaczej rzecz się ma z obrazami wyższej, religijnej treści. Indywidualność, która ze św. Wawrzyńca i zbłądnętego starca uczyniła figury zajmujące, wprowadzona na wyżyny sztuki, aż do pierwowzoru Boga-człowieka i Matki—Dziewicy, nie otrzymała pożądanego rezultatu. Zesławiana Matka Najświętsza, przestała być, nawet zewnątrz rzecz biorąc, ideałem religijnym, a *Chrystus*, cieleśnie silny i krwisty, przypominał nam Donatella rzeźbiarza—naturalistę, jawiącego się na zrębiej epoki średniowiecznej i odrodzenia, którego przyjaciel i współzawodnik Brunelleschi, artysta idealny, w obec wyrzeźbionego przez niego Jezusa na krzyżu, ostrzegł serdecznym wykrzyknieniem: „Ukrzyżowałeś chłopca.“

Brak natchnienia widoczny w obu tych dziełach; struna poetyczna, co tak rzewnie brzmiała w pierwszych utworach p. G., przyciszona umilkła, jakby nie śmiała, czy też niezdolna była jeszcze dźwięczyć w krainie świętości.

W traktowaniu obrazu Matki Najświętszej, jakkolwiek szkicowem i dorywczem, w światłocieniu i układzie figury śmiało narysowanej widać postęp; artysta znakomicie rozwija technikę.

Wnętrze szataś góralskiego, które świeżo oglądali-

śmy na wystawie, jest ostatniem p. G. i zarazem arcydziełem jego pod względem formalnym.

Stary góral gra na flecie; okok niego siedzi pacholę i przysłuchuje się naiwnie i ciekawie grze starca; po lewej i prawej grającego, dwaj młodzieńcy; w głębi dziewczyna i kobieta; po prawej widza kłęczący góral usiłuje rozniecić gasnący pod kotłem ogień, w którym się zapewne przygotowywa skromna wierzcha, o ile to można wnosić z promieni ukośnych światła, wkradających się przez dziurę wydartą w szalście i rozświecających twarze zgromadzonych. Dorodny góral, w refleksie umieszczony, czyli inaczej mówiąc oświecony odbitem od ścian domostwa i ogniska światłem, stoi jak żywy, nęcąc oko kształtną i silną budową ciała, lekkością i sprężystością, która się odbija nawet w stanie spoczynku; ten człowiek nie cięży ziemi, której gibką nogą dotyka. Góral po lewej widza nie tak już dobrze pomyślany; ruch jego i podniesienie nogi ma zamało prostoty. Grający starzec i pacholę, oraz figury drugiego planu, pod względem zewnętrznym są prawie bez zarzutu: wszystkie żyją życiem ziemskim, chwilowem, przelotnem. Umieszczone wprost szalasu zwierciadło, zatrzymało postacie tych ludzi, przypadkiem w jednym punkcie zgromadzonych. Mówimy przypadkiem, bo ci ludzie schwyleni są właśnie w chwili bezczynności duchowej; żadna iskra natchnienia, żadna myśl, żadne uczucie, a nawet żaden obyczaj tradycyjny nie łączy ich, nie wybija rumieńcem, zadumą, tęsknotą lub zapalem na te oblicza młodzieńcze i świeże. Starzec gra sobie ze zwyczaju, gra, bo grać przywykł; ale te tony nie drżą ani wspomnieniem, ani nadzieją w jego sercu; inni słuchają, bo niesłuchać nie mogą; chłopczyk tylko siedzący przy starcu cieszy się naiwnie z dźwięków może wesołej piosenki, co płynie z ust starca i drga w powietrzu. Obraz ten przemawia do zmysłów i podoba się też ogólnie; poezja formy podniesiona tu do tego stopnia, że dla osób mniej rozwiniętych pod względem uczucia i pojęcia prawdziwego i nieśmiertelnego piękna, jest ono już dziełem wysokiej artystycznej wartości; ale dla nas, cośmy dumali przy *Pogrzebie wiojskim*, co patrzymy w myślenie oblicze *Cyganki* i pochyloną pod brzemieniem tęsknoty dziecięcą jej główkę, co widzimy oblicze niewinnie zarumienionej *Dziewczyny przy studni*, — dla nas *Szatas góralski* do dzieł znakomitszych p. Gersona się nie policzy, a ten kierunek zewnętrzny, ta praca rozumu i ręki, bez wyższego natchnienia, za niekorzystny przejaw tak w życiu artystycznym p. G., jak w rozwijającej się u nas sztuce uważanym być musi.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

23 stycznia.

Blue-Book francuzki, czyli tak zwana żółta księga, przedstawia w tym roku między innymi ciekawy zbiór dokumentów i korespondencyj gabinetu francuzkiego w sprawie rzymskiej. Z depesz p. de Sartiges, posła francuzkiego w Turynie, dowiadujemy się, że obecne ministeryum włoskie nie wyrzekło wprawdzie stanowczego non possumus w przedmiocie negocjacji, ale z tém wszystkiem nie zrzeka się dziedzictwa Cavoura i nie przestaje uważać Rzymu za prawdziwą stolicę nowego królestwa. Z rozmów jakie miał p. de Sartiges z p. Passolini, to tylko pewnego wnieść można, że gabinet włoski nie myśli obecnie wchodzić w jakiegokolwiek układy, któreby miały na celu urzędowe zręczenie się wiecznego grodu. Tymczasem dziennik *la France* zapewnia, że rząd francuzki zawięzwie wkrótce gabinet włoski do układów, na podstawie zapewnienia papieżowi terażniejszych posiadłości, oraz przyjęcia zastrzeżeń dworu rzymskiego co do odpadłych prowincyj. W razie odmownej odpowiedzi Turynu, p. Drouyn de Lhuys zrzuci na rząd włoski całą odpowiedzialność za niepowodzenie usiłowań przedsięwziętych w celu pogodzenia Włoch z papieżem.

Podczas gdy dzienniki francuzkie ogłaszają dokumenta dotyczące sprawy hiszpańsko-meksykańskiej, armia, pod dowództwem Forey'a, rozpoczęła już na całej linii zaczepne swe działania. Depesze z Nowyorku z dnia 5 stycznia donoszą, że Francuzi zdobyli Pueblę, z kąd po otrzymaniu posiłków, wyruszyć mają na Meksyk. Z drugiej strony *Patrie* podaje wiadomość o świetnem zwycięstwie pięciu tysięcy Fran-

cuzów, odniesionem nad generałem Ortega, mającym do 25 tysięcy ludzi. Jednocześnie sześć tysięcy Francuzów wyładowało w Tampico. Mówią że rząd egipski wysłać ma do Meksyku oddział wojska z 500 murzynów złożony, celem złączenia się z korpusem generała Forey. Zwłoki słynnego malarza Horacego Vernet pochowane zostały na cmentarzu Montmartre w dniu 20 b. m. Wieść o śmierci Piusa IX okazała się fałszywą.

W Berlinie stronnictwo liberalne obraduje nad kwestyą adresu do króla. Kommissya adresu zaprosiła do obrad wszystkie stronnictwa, z wyjątkiem frakcyj prawej krańcowej. Frakcyja Vinkego odmówiła udziału w naradach, których rezultat dotąd niewiadomy. Ministeryalne dzienniki wiedeńskie i pruskie zacięta toczą walkę w kwestyi reformy związkowej i związku celnego. Nord. Allg. Ztg. zapewnia, że gabinet pruski stanowczo odrzucił myśl jedności celnej z Austryją, i że to odrzucenie jest główną przyczyną, iż zamierzony zjazd ministrów nie przyjdzie do skutku. Tenże dziennik zawiadamia, że niezwłocznie po wyzdrowieniu króla, odbędzie się rada ministeryalna, na której powzięta być ma stanowcza decyzja co do prawa o odpowiedzialności ministrów i izbie obrachunkowej. Wkrótce także przedstawiony będzie sejmowi projekt odmiany prawa o służbie wojskowej z 1814 r.

Bitwa pod Murfreesboro nie była tak korzystną dla federalistów, jak to zrazu głoszą. Wprawdzie federaliści utrzymali się przy polu bitwy i zajęli miasto, ale 6500 poległych i rannych, 28 dział i nieznaną dotąd liczbą jeńców, nie mała dla nich jest stratą. Co więcej, generał Bragg z całym korpusem separatystów wy dobył się z pod Murfreesboro i cofnął w jaknajwiększym porządku, uprowadziwszy z sobą jeńców północnych, między którymi znajdować się mają generałowie Willich i Fry. Separatysty także ponieśli silne straty: 5400 zabitych i rannych, 1000 jeńców. Jednocześnie z temi wypadkami, druga krwawa bitwa rozpoczęła się pod Vicksburgiem. Generał federalny Sherman uderzył na to miasto w 40,000 doborowego żołnierza. Walka trwała przez dni pięć, obie strony walczyły z zajądłością dobrze już znaną z dziejów tej smutnej bratobójczej wojny. Federaliści dostali się już po za czwartą linię szanów separatystowskich, ale dzielne natarcie obleżonych zmusiło północnych do zupełnego wycofania się. Federaliści stracili od czterech do pięciu tysięcy ludzi w tej rozprawie. Jeżeli wojna potrwa rok jeden jeszcze w takich rozmiarach, ojczyzna Waszyngtona zniszczoną będzie do gruntu. Usunięcie generała Burnside od naczelnego dowództwa i zastąpienie go przez generała Hooker, jest faktem nie ulegającym już wątpliwości.

Said - basza, wice-król Egiptu, zakończył życie w Kairze, w dniu 13 b. m. Zmarły był czwartym synem słynnego w dziejach Mehmeda-Alego i rządził Egiptem od 1844 r. Następcą Saída ogłoszony został synowiec jego Izmael-basza, syn Ibrahima, urodzony w Kairze w 1830 r. Oczekują firmanu sułtańskiego. Krążące z powodu śmierci Saída-baszy pogłoski o zarzuceniu robót przy kanale suezkim, nie zasługują na uwagę.

Przesilenie ministeryalne w Madrycie, zakończyło się upadkiem dawnego gabinetu i ułożeniem nowego, pod prezydencją marszałka Odonnella. Wszli w skład gabinetu: pp. Odonnell, Serrano, Armijo, Salaverria, Lujan, Fomeuto i Santa-Cruz.

Patrie, Ind. Bel., Jour. de Deb., Schles. Ztg.

Ostatnie depesze. Bruksella 22 stycznia. Z najwiarogodniejszego źródła zapewnić możemy, że książę koburgski przyjął kandydaturę grecką, pod warunkami częścią dotyczącymi dóbr książęcych, częścią ze względów politycznych wpływającymi.

Paryż 21 stycznia. Monitor pisze: Wiadomość o wejściu Francuzów do Puebli, opiera się na depeszy przysłanej na giełdę bostońską; depesza nie nosi charakteru urzędowego, ale nie jest bezzasadną.

Berlin 21 stycznia. Projekt adresu obejmuje, oprócz kwestyi konstytucyjnej, kwestyą landweru i praw obywatelskich. Projekt prawdopodobnie jutro przedstawionym będzie w izbie.

Wiedeń 21 stycznia. Presse donosi o zamiarze utworzenia nowego banku. P. Roebuck otrzymał posłuchanie w tym przedmiocie u cesarza.

Paryż 20 stycznia. Memoryał rządu papieżkiego o zamierzonych reformach, nadesłanym tu został i będzie wkrótce ogłoszonym. Nieprawdą jest żeby rząd francuzki domagał się uwolnienia księżny Barberini. P. Saldanha przedstawił papieżowi swe listy wierzytelne jako poseł portugalski. Tyber wyszedł z brzegów i zalał różne części Rzymu.

Paryż 20 stycznia. Izba deputowanych mianowała kommissyą do ułożenia adresu.